Dziś w numerze: ● Afryka a integracja nauk ● Łódź – dobre miasto ● O piosence i grafomanii ● Twierdza nad Bugiem ● Zawód: nie pracujący ● Recenzje ● Felietony

odgłosu

Nr 49 (163)
10. XII. 1967 r.
16 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X

KONRAD FREJDLICH

Chłopcy z BIAŁEJ

Tego roku na Koprzywnę spadło nieszczęście, jakim Pan Bóg karze czasem wsie zabudowane zbyt ciasno i słomą kryte. Kiedy się idzie rozmiękłą drogą wśród opłotków i patrzy na sterczące z ziemi kominy, na rozgruchotane piece kuchenne, gdzie jeszcze nie tak dawno warzyła się strawa, ogarnia człowieka zdziwienie, że na tym pogorzelisku tak jeszcze świeżym, tak przeraźliwie konkretnym, nie czuć już swędu i popiół nie sypie się pod nogi.

Pogorzelcy już odebrali swoje z fajerkasy i połatali dziury w ocalałych domach. Z zapamiętaniem sposobią się do zimy. Nieszczęście dotknęło ich, ale nie powaliło. Stukają młotki, czasem brzęknie kielnia potrącona przypadkiem o oporną cegłę. Tylko u Kurzawiny rodzina gnieździ się w naprędce zbitej z desek budzie, gdzie i pies obraziłby się zamieszkać. Wyniosła z ognia jedno przepalone od żaru wiadro i stary garnek, dobrzy ludzie dali jej zbutwiałe szmaty, które spina na sobie agrafkami, aby przykryć nagość. Kurzawina nie umie już mówić: tylko płacze.

1.

To się zdarzyło w pierwszą niedzielę lipca, na krótko przedtem jak dzwony w kościele parafialnym w Białej wydzwonić miały w południe na Anioł Pański. Na zalany słońcem rynek wpadli dwaj kurierzy ognia. Miesza się to już ludziom i nie wiedzą dobrze, czy tamci przyjechali na moto-

Dalszy ciąg na str. 4

NASZE MIESZKANIA

Są pytania stale powracające w rozmowach, pojawiające się na łamach prasy, w wypowiedziach działaczy politycznych i gospodarczych. Są to pytania obchodzące każdego z nas, bo dotyczą tego, co staje się i co będzie trwać latami, oceniane przez następne pokolenia. Dotyczą kształtu miasta, jego poszczególnych części — osiedli. Dotyczą rzeczy nam najbliższej — naszego mieszkania. Stale przecież dyskutujemy o tym, jak mieszkamy i jak będziemy mieszkali?

Dyskutujemy bardzo często w sferze naszych najprostszych odczuć i doświadczeń. Nie zawsze dysponując pełnym materiałem, nie widzimy problemów w ich złożoności i skomplikowaniu. Dlatego, aby móc je pełniej pokazać, zaprosiliśmy do redakcji „ODGŁOSÓW" ludzi zajmujących się programowaniem, projektowaniem i budowaniem naszych mieszkań: przedstawicieli STOWARZYSZENIA ARCHITEKTÓW PRL, projektantów — Bolesława TATARKIEWICZA i Szymona WALTERA, przedstawicieli łódzkiego oddziału CZ SPÓŁDZIELNI BUDOWNICTWA MIESZKANIOWEGO – Jana JUSZKIEWICZA i Zbigniewa SŁABIAKA, przedstawiciela ZARZĄDU INWESTYCJI MIEJSKICH m. Łodzi – Tadeusza SKRZYPKOWSKIEGO i wykonawcę – dyrektora ŁPBM-1 – Mariana BANASZCZYKA.

„ODGŁOSY" — Rejestr naszych pretensji pod adresem inwestorów, projektantów i wykonawców jest doskonale znany. Wiele pozycji w tym smutnym rejestrze już skreślono, choć skutki ich pozostaną na długo. I dlatego warto zastanowić się nad tym, co robi się i co będzie się robić dalej, aby nasze mieszkania były wygodniejsze, bardziej rozmaite, aby stanowiły dogodne miejsce dla wypoczynku, pracy i życia rodzinnego? Rocznie miastu przybywa około 20 tys. izb. Dla ich przyszłych użytkowników **nie jest i nie** będzie obojętne — jakie to są izby?

JAN JUSZKIEWICZ — Warto przypomnieć, że o standardzie mieszkań decyduje zarządzenie, które obowiązuje od 1965 r. i które określa jakie ma być wyposażenie mieszkań. Np. mówi ono, że w podstawowym standardzie w kuchniach i łazienkach nie wolno wykonywać lamperia, instalować wanien z bateriami i pieców kąpielowych. W praktyce inwestycyjnej, zgodnie z życzeniami przyszłych mieszkańców, stosuje się standard wyższy.

TADEUSZ SKRZYPKOWSKI — Tak więc działaliśmy w oparciu o niesłuszne normatywy, co powodowało, że niektóre pojęcia interpretowano w niewłaściwy sposób. Przeżywaliśmy okres zbytniego oszczędzania i doprowadziliśmy do pewnego upośledzenia mieszkań. W Łodzi działaliśmy jednak z rozwagą, przeciwnie niż np. w Gdańsku, w każdym mieszkaniu budowaliśmy łazienkę.

Niestety nie udało się całkowicie uniknąć zbytnich oszczędności, wynikających z wytycznych. Obowiązują nas normatywne koszty budownictwa mieszkaniowego. W Łodzi koszt bezpośredni 1 m kw. powierzchni użytkowej wynosi 1.790 zł, a koszt globalny — 2.340 zł. Natomiast w budownictwie spółdzielczym koszt bezpośredni wynosi 1.930 zł za metr kwadratowy, a globalny — 2.520 zł.

JAN JUSZKIEWICZ — Zasadniczym dezyderatem spółdzielczości mieszkaniowej, która stara się wywierać wpływ zarówno na projektantów, jak i wykonawców, jest to, aby każde mieszkanie miało balkon względnie loggię, aby zaniechać budowy ciemnych kuchni, aby projektować mieszkania w górnych granicach normatywnych.

Jak do tej pory projektanci funkcjonalność mieszkań najlepiej rozwiązali w wysokich budynkach. Gorzej z funkcjonalnością jest w budynkach niskich o 5 kondygnacjach.

„ODGŁOSY" — Wśród popełnionych błędów każdy ma swój udział — każdy to znaczy, że zarówno inwestor, projektant i wykonawca. Od niektórych spraw zdążyliśmy już odejść. Np. odrzucono projekty przewidujące tzw. ślepe kuchnie...

BOLESŁAW TATARKIEWICZ — Kuchnie z wtórnym światłem nie wynikały z jakiegoś „widzimisię" projektanta. Przy takim rozwiązaniu można było uzyskać większą powierzchnię pokojów, w szczególności dwuosobowe pokoje sypialne o powierzchni co najmniej 9,0 m kw. oraz — w efekcie — w mieszkaniach większych pokój dzienny już bez potrzeby przewidywania w nim dodatkowego miejsca sypialnego.

SZYMON WALTER — Nie chodzi o projektowanie kuchni z wtórnym światłem dla samego projektowania, ale o stosowanie racjonalnych rozwiązań, kiedy z góry wiadomo dla jakiego użytkownika projektuje się mieszkanie. Wtedy łatwiej o sprecyzowanie programu takiego mieszkania. Chodzi również o to, żeby kuchnię z wtórnym światłem wyposażyć w meble kuchenne. W jednej z łódzkich spółdzielni udało się tak postąpić. Przeprowadziłem później wśród użytkowników tych mieszkań małą ankietę. Większość wypowiedzi użytkowników tych mieszkań dowodziła, że są z nich zadowoleni.

BOLESŁAW TATARKIEWICZ — I jeszcze jeden warunek — w takich kuchniach należy wprowadzać mechaniczną wentylację.

„ODGŁOSY" — Sprawę tzw. ślepych kuchni rozwiązano. Nie życzy ich sobie ani inwestor państwowy, ani spółdzielczy. Dlatego pomińmy może ten temat, choć zdaję sobie sprawę, że architekci chętnie podtrzymaliby go, nie tylko dlatego, aby bronić swojej pozycji, ale przede wszystkim dlatego, że takie rozwiązania dawały im większe możliwości manewrowania na niewielkiej przecież powierzchni.

Dalszy ciąg na str. 3

ze ŚWIATA

Konsekwentność, z jaką gen. de Gaulle stawia podstawowe problemy międzynarodowe, bardzo denerwuje polityków i komentatorów, niezadowolonych z samodzielności politycznej Francji. I tym razem zareagowali więc nieprzychylnie dla prezydenta chociaż, jak twierdzą obserwatorzy, de Gaulle na swej konferencji w Pałacu Elizejskim nie powiedział niczego nowego.

Właściwie to prawda — potwierdził przecież swe stanowisko w sprawie Bliskiego Wschodu, raz jeszcze jednoznacznie wskazując na agresora, ponownie dał do zrozumienia W. Brytanii, że w najbliższych latach nie ma po co ubiegać się o wejście do Wspólnego Rynku oraz w całej rozciągłości podtrzymał swe zdanie o nieodwracalności polskich granic na Odrze i Nysie. Tylko, że czas i forma tej wypowiedzi sprawiają, iż mówiąc to samo — powiedział wiele nowego.

W kwestii bliskowschodniej wyraziło się to sprecyzowaniem rezolucji Rady Bezpieczeństwa. Gen. de Gaulle popiera ją w pełni, ustala jednak kolejność jej realizacji, oczywiście na pierwszym miejscu wyliczając ewakuację izraelskich wojsk z zagarniętego terytorium arabskiego. Jak i poprzednio — łączy ściśle konflikt bliskowschodni z wietnamskim, zdecydowanie krytycznie oceniając amerykańską politykę z pozycji siły. Warto w tej części przemówienia prezydenta Francji zwrócić uwagę także na jego ostrą ocenę syjonizmu.

W sprawie przyjęcia W. Brytanii do Wspólnego Rynku aktualność wypowiedzi polega na tym, że rozwiewa ona nadzieje tych, którzy sądzili, że po dewaluacji funta szterlinga usunięta została podstawowa przeszkoda. Dla de Gaulle'a jest to tylko następstwo kryzysu brytyjskiej gospodarki, nie mające wpływu na zabiegi przyłączenia się do EWG. Ani teraz, ani w najbliższym okresie prezydent Francji nie widzi możliwości udziału Anglii we Wspólnym Rynku.

Ponowienie blokady spotkało się niemal z natychmiastową repliką premiera Wilsona, który w przemówieniu na przyjęciu, wydanym przez grupę dziennikarzy parlamentarnych, starał się zbić argumenty de Gaulle'a i udowodnić 5 partnerom Francji w EWG, że stanowisko generała nie wytrzymuje krytyki. Nie relacjonując go powiedzmy tylko: ton wypowiedzi nie był najprzyjemniejszy, o czym świadczyć może fakt, iż Wilson wypomniał Francji, że W. Brytania dwukrotnie walczyła za nią w wojnach światowych.

I kwestia granic na Odrze i Nysie. Odpowiadając na pytanie dziennikarza — prez. de Gaulle potwierdził niezmienność i nienaruszalność granic. Stanowisko Francji w tej sprawie jest powszechnie znane, ale znowu czas, w którym padło kolejne potwierdzenie, a mianowicie: po licznych zabiegach propagandy bońskiej, aby pomniejszyć znaczenie oświadczeń de Gaulle'a w czasie wizyty w Polsce, sprawił, że prasa NRF-owska znów uderzyła w krytyczne tony.

Tak zatem, choć de Gaulle rzeczywiście w zagadnieniach międzynarodowych nie powiedział niczego nowego, poruszył cały zachodni świat, wkładając przysłowiowy kij w mrowisko.

Czy dziwić się przeto, że przez łamy prasy zachodniej przetoczyła się prawdziwa lawina komentarzy?

Liczne komentarze wzbudziła także dymisja McNamary ze stanowiska sekretarza obrony USA. Domysłów, że nie jest to „zmęczenie" blisko 7-letnim piastowaniem tej funkcji, nie rozwiały bynajmniej oświadczenia Johnsona i McNamary, który wybrany został przewodniczącym Banku Światowego. Można nawet powiedzieć, że umocniły przekonanie, iż dotychczasowy amerykański sekretarz obrony odchodzi z Pentagonu wskutek różnic zdań co do dalszych losów wojny wietnamskiej. Jak pisze „New York Times" — McNamara był „coraz bardziej zgnębiony przebiegiem wojny w Wietnamie i w prywatnych rozmowach miał kilkakrotnie stwierdzić, że powinno się przerwać bombardowania Wietnamu północnego „bez czekania na konkretne ustępstwa wojskowe ze strony Hanoi".

Tę tezę rozwijają i inni komentatorzy amerykańscy, pisząc m. in.: „McNamara nie widzi końca tej wojny", „był zaniepokojony aluzjami gen. Westmorelanda na temat potrzeby akcji przeciwko Kambodży", „niepokoił się słowami żołnierzy amerykańskich w Wietnamie: nie jest to nasza wojna", „przeciwstawiał się presji na rzecz dalszego rozszerzenia wojny" itp.

Komentując w tym duchu odejście McNamary publicyści uważają, że jego dymisja jest zwycięstwem „jastrzębi" i zapowiada zwiększenie planów interwencyjnych.

Wydaje się nie ulegać najmniejszej wątpliwości iż istnieje ścisły związek między zmianą na stanowisku szefa Pentagonu a wyborami prezydenckimi w przyszłym roku. Jest bowiem powszechną tajemnicą, że amerykańskie plany wojskowe w Wietnamie załamywały się już niejednokrotnie i że wzmaga się nacisk na administrację, aby jak najszybciej wyjść z tej „kabały". Prez Johnson upatrzył więc sobie McNamarę na kozła ofiarnego, przypuszczając, że w ten sposób usunie obiekt ataków wyborców.

Tylko, że Johnson uparcie zapomina, iż to nie na drodze dalszego nasilenia interwencji zbrojnej, ale rokowań i wycofania się z Wietnamu można znaleźć jego rozsądne rozwiązanie. Ustąpienie McNamary niczego nie załatwia nie wprowadzi w błąd wyborców: kto winien jest śmierci tysięcy amerykańskich żołnierzy w dżunglach Wietnamu.

W. SŁAWSKI

Kronika TYGODNIA

Mein Kampf, Buchenwald, Dachau... w przekładzie na grecki

❖ Przemawiając w wywiadzie telewizyjnym senator Robert Kennedy poddał surowej krytyce politykę administracji Johnsona wobec Wietnamu wyrażając pogląd, że „polityka ta jest błędna, a obrany w niej kierunek — fałszywy". Kennedy zapytał następnie, jakie prawo mają Amerykanie, aby „corocznie zabijać lub ranić tysiące dzieci, a w sumie około 150 tysięcy osób cywilnych. Dlaczego prezydent Johnson — kontynuował Kennedy i wiceprezydent Humphrey nie mogą podróżować po świecie... Dlaczego nie mogą przemierzać swego własnego kraju". Odpowiedź Kennedy'ego: „Polityka wietnamska rządu spowodowała bowiem bardzo poważne osłabienie moralnej pozycji Stanów Zjednoczonych w świecie".

❖ Sekretarz Biura Politycznego KC Komunistycznej Partii Izraela — Meir Wilner w wywiadzie dla „Komsomolskiej Prawdy" podkreślił, że na Bliskim Wschodzie wiele przemawia za tym, że rząd izraelski przygotowuje nową agresję przeciwko ZRA i Syrii. Właściwą przyczyną wojny było życzenie Amerykanów, by obalić rządy w Syrii i Egipcie. Ponieważ jednak do zmian w rządach obu krajów nie doszło — powiedział Wilner — istnieje w dalszym ciągu dla imperializmu powód do nowych awantur wojennych.

❖ Szef państwa Kambodży — Sihanouk: W związku z kampanią prasy amerykańskiej oskarżającą Kambodżę o udzielanie pomocy partyzantom Vietkongu „powinniśmy odtąd przewidywać możliwość amerykańskich bombardowań na wielką skalę, oraz okupacji części Kambodży przez wojska amerykańskie. Musimy się na to przygotować". Sihanouk zażądał od dowództwa armii kambodżańskiej, by przygotowała się do prowadzenia w takim wypadku wojny partyzanckiej.

❖ Sinhua: „Według wstępnych danych od początku rewolucji kulturalnej w Chinach rozkolportowano za granicą 4,6 miliona egzemplarzy dzieł Mao Tse-tunga w 25 językach. Ilość ta przewyższa liczbę dzieł Mao rozkolportowanych za granicą w ciągu ubiegłych 17 lat. Agencja Nowych Chin stwierdza, że dzięki temu myśli Mao Tse-tunga docierają do wszystkich pięciu kontynentów, a ludzie w wielu miastach świata codziennie wyczekują przed księgarniami, by móc kupić te „bezcenne dzieła".

❖ Couve de Murville — minister spraw zagranicznych Francji: „Francja kontynuować będzie z pewnością obecną politykę zagraniczną po de Gaulle'u, ponieważ jest to polityka opierająca się na realiach i podstawowych interesach Francji".

❖ Młodzi ludzie w Chinach nie powinni myśleć o miłości i nie powinni zawierać małżeństw w zbyt młodym wieku, pisze szanghajska gazeta „Wenhaipao", natomiast swoje młodzieńcze lata powinni poświęcać działalności politycznej i rewolucyjnej.

❖ Delegaci kanadyjskiej prowincji Quebeck zatwierdzili uchwałę, aby prowincja ta „samodzielnie utrzymywała swe stosunki z zagranicą"; uchwała przewiduje w szczególności, że prowincja powinna mieć prawo prowadzenia rokowań i zawierania układów we wszystkich dziedzinach, przystępowania w charakterze pełnoprawnego członka do wszelkich organizacji lub zrzeszeń międzynarodowych, utrzymywania stosunków dyplomatycznych i konsularnych z wszystkimi państwami i powinna posiadać całkowitą swobodę w dziedzinie polityki zagranicznej i obrony.

❖ „Nierówne zmagania handel — konsument" — pod takim tytułem tygodnik słowacki „Predvoj" publikuje artykuł o nadużyciach pracowników handlu. „Dokąd handel będzie handlem, dokąd jedni będą sprzedawać, a drudzy kupować, zawsze się będzie kradło" — czytamy w piśmie. Autor artykułu postuluje opracowanie norm prawnych, które uniemożliwiałyby sygnalizowane zjawisko.

❖ W Tiranie opublikowano decyzję KC Albańskiej Partii Pracy o środkach zwiększenia liczby krów, polepszenia ich rasy i rozszerzenia zaprzęgów wołów.

❖ Co najmniej czterystu intelektualistów z całego świata weźmie udział w kongresie kultury, który będzie obradował w Hawanie od 4 do 11 stycznia 1968 roku. W tym spotkaniu poświęconym problemom Ameryki Łacińskiej, Azji i Afryki będą między innymi uczestniczyć tacy wybitni przedstawiciele kultury europejskiej, jak Jean Paul Sartre, Bertrand Russel, angielski pisarz Graham Green i inni.

❖ Były prezydent D. Eisenhower w wywiadzie telewizyjnym powiedział, że Stany Zjednoczone winny dokonywać wypadów na terytorium Wietnamu Północnego i „ścigać nieprzyjaciela" w Kambodży i Laosie.

❖ W całej Rumunii, począwszy od listopada br., odbywa się przekazywanie większości schronisk turystycznych prywatnym zarządcom. Są nimi przeważnie byli kierownicy tych schronisk.

❖ Organ kół amerykańskiego businessu „Journal of Commerce" przewiduje możliwość dalszej eskalacji wojny w Wietnamie w przyszłym roku. Czynnikami, które wskazują na możliwość takiej eskalacji, są — zdaniem pisma — odejście McNamary oraz ostatnie wypowiedzi Eisenhowera. Komentator „New York Post" wskazuje, że w związku z dymisją McNamary, iż „z administracji kolejno odchodzą ci wszyscy, którzy przeciwstawiali się presji ze strony kół wojskowych na rzecz rozszerzenia wojny".

❖ Pod hasłem umacniania świadomości socjalistycznej kubańskie związki zawodowe prowadzą w całym kraju szeroką kampanię, której celem jest zniesienie wynagrodzeń za nadliczbowe godziny pracy w fabrykach, urzędach i innych przedsiębiorstwach państwowych. Załogi zakładów pracy i instytucji uczestniczą w zainicjowanym przed trzema miesiącami „ruchu partyzanckim". Ruch ten polega na tym, że personel fabryki deklarujący się jako brygada partyzancka podejmuje zobowiązanie nieopuszczania miejsca pracy przez tydzień, dwa lub miesiąc. Robotnicy pracują po kilkanaście godzin i są stale na miejscu do dyspozycji kierownictwa zakładu, który organizuje dla nich na miejscu sypialnie i wyżywienie.

❖ Szef francuskiego sztabu wojskowego — gen. Aillert opublikował artykuł, w którym wykazuje, iż Francji nie grozi już „niebezpieczeństwo" tylko z jednego kierunku — czyli ze Wschodu — jak głoszą atlantyckie koncepcje obronne, ale „ze wszystkich azymutów". Dlatego też niezbędne jest, wyposażenie francuskiej siły odstraszającej w znaczną liczbę balistycznych pocisków międzykontynentalnych zdolnych do osiągnięcia celów w każdym punkcie świata. Zdaniem pisma „Aurore" — artykuł ten wskazuje, iż Francja przygotowuje się do wystąpienia również z sojuszu północnoatlantyckiego.

❖ W prasie chińskiej coraz częściej pojawiają się informacje zapowiadające zwołanie IX zjazdu partii.

Etapy polityki ekonomicznej Wilsona

(Morning stor)

Zjazd ten — zdaniem jednej z gazet — stanie się prawdziwym renesansem partii chińskiej. Dla osiągnięcia tego celu niezbędne są trzy wstępne warunki: masowe wstąpienie do partii „proletariackiej awangardy rewolucji kulturalnej", tzn. czerwonogwardzistów i rewolucyjnych rebeliantów, reforma instancji partyjnych oraz duchowa, moralna i ideologiczna metamorfoza starych członków partii.

❖ Jak wynika z doniesień prasowych z Hawany, Kuba zamierza zapewnić sobie samowystarczalność w zakresie produkcji ryżu.

❖ Jugosłowiańskie pismo „Borba" w korespondencji z Pragi pisze: „Gospodarka rozwiniętej przemysłowo Czechosłowacji przeżywa trudności. Ów kolosalny potencjał kroczy nowymi drogami, jeszcze nie zbadanymi. Są to jednak kroki ociężałych nóg, które nie przywykły do tego, aby bez komendy „z góry" przybierać właściwy rytm i kierunek. Mówią o tym otwarcie politycy, ekonomiści i zwykli konsumenci". Politycy twierdzą — kontynuuje „Borba", że wiele przedsiębiorstw zwolnionych od obowiązku wtórowania pałeczce dyrygenckiej z pulpitu centralnego, zaczyna zachowywać się na modłę solistów, postępując w dysharmonii z interesami gospodarki ogólnospołecznej.

❖ Sekretarz Komunistycznej Partii Urugwaju ocenia obecną sytuację w Ameryce Łacińskiej jako tę, która ma wszelkie cechy sytuacji przedrewolucyjnej, z której wyłaniają się już liczne elementy sytuacji rewolucyjnej.

— Peruka rośnie i rośnie...

(Die Welt)

NASZE MIESZKANIA

Dalszy ciąg ze str. 1

Pozostawmy jednak te sprawy na boku. W ubiegłym roku miasto otrzymało 20,9 tys. izb o kubaturze 1.918 tys. m sześciennych. W tym samym roku Kraków, liczący 530 tys. mieszkańców, otrzymał 16,3 tys. izb, a Poznań — z 442 tys. mieszkańców — 9,7 tys. izb. Przy czym kubatura budynków oddanych w Krakowie wyniosła 4 162 tys. m sześciennych, a w Poznaniu — 1.266 tys. m sześciennych. Już z tych liczb widać pewne różnice istniejące w rozwoju budownictwa w wymienionych miastach. Powszechna opinia głosi, że można tam znaleźć ciekawsze rozwiązania urbanistyczne i architektoniczne. Ta sama opinia utrzymuje, że w Łodzi nie ma czym się chwalić, co w pewnym sensie ma pokrycie w ubóstwie naszego wojewódzkiego zestawu projektów.

BOLESŁAW TATARKIEWICZ — W wyniku dążenia do obniżenia kosztów budowy władze poszły w kierunku jak najdalej idącej typizacji mieszkań, stąd powstały tzw. wojewódzkie zestawy projektów. W zestawach znalazły się tylko projekty odpowiadające warunkom ekonomicznym — kosztom około 1800 zł jako te, które odpowiadały najbardziej zapotrzebowaniu społecznemu, bo gwarantowały największą ilość mieszkań. W zestawach znalazły się przede wszystkim budynki uprzemysłowione, o dosyć niskim standardzie, i to obok normatywu kosztów ograniczyło możliwości projektanta. Każdy z nas dążył do tego, aby stworzyć maksimum wygód przy możliwościach jakie daje normatyw. Nasze mieszkania nie są doskonałe — zdajemy sobie z tego sprawę. Mieszkanie powinno być możliwie uniwersalne, odpowiadać różnym potrzebom nie zawsze znanych mieszkańców.

Od chwili, kiedy spółdzielczość przejęła w części sprawy budownictwa mieszkaniowego, rzecz poprawiła się o tyle, że użytkownicy mają większy wpływ na programowanie mieszkania.

Musimy więc dążyć do uzyskania jak największej rozkładowości mieszkań, i do zapewnienia pełniejszego ich wyposażenia. Np. małe kuchnie powinny posiadać komplet mebli kuchennych, w przedpokojach byłaby pożądana wbudowana szafa. W mieszkaniach większych odczuwa się potrzebę wydzielenia WC z łazienek. W łazience powinno być miejsce na kosz z brudną bielizną i na pralkę. Tych wszystkich żądań nie spełniamy. Dwa podstawowe projekty, którymi operujemy, są tego rodzaju, że wykluczają możliwość pełniejszych rozwiązań. Dysponując węzłem sanitarnym na małej płycie, z góry wykluczamy dostęp do kuchni z przedpokoju. Można stosować inne rozwiązania i zaprojektować dużą płytę węzła sanitarnego, ale jej stosowanie uwarunkowane jest możliwościami zakładów prefabrykacji, wymagałoby zwiększenia ilości prefabrykatów i nie pozostałoby bez wpływu na koszt budynku.

Dysponujemy tylko 2-ma metodami realizacji: ŁSM i Dąbrowa. Powstałą monotonię, na którą narzekają mieszkańcy można przełamywać tylko drugorzędnymi elementami, które nie naruszają konstrukcji, m. in. przy pomocy koloru. Proponuje się stosowanie elementów nie tylko z gotową fakturą, ale już kolorowych. Baza prefabrykatów przy ul. Wieniawskiego wytwarza płyty natryskiwane kolorową zaprawą. Przy próbach różnicowania architektury dochodzi do konfliktu pomiędzy wykonawcą i projektantem. Dla wykonawcy, z punktu widzenia ekonomicznego, korzystniejsza jest produkcja na wielką skalę, przemysłowe przygotowanie projektu budynku sprzeczne z dążeniem do stałego wzbogacania wyrazu architektonicznego. Ale monotonność jest — niestety — znamieniem czasu, wynika ze sposobu naszego budowania, naszych olbrzymich potrzeb. W każdej epoce architektura odzwierciedla jakieś charakterystyczne cechy. W naszym wypadku odzwierciedla masowość, jest wyrazem przemysłowej produkcji budynków. I to w jakimś sensie jest prawidłowe. Jak wyjść z tego impasu? Moim zdaniem należałoby dążyć do tego, aby operując elementami osiedla złamać monotonię, narzucaną przez architekturę budynków. Trzeba podporządkować ją prawidłowej organizacji osiedla z całym jego wyposażeniem w budynki użyteczności publicznej, pawilony itp. Wprowadzić elementy, które nie dają się znormalizować — np. zieleń, eksponować elementy, których nigdy się dostatecznie nie doceni: — wszelkie urządzenia, nawierzchnie, chodniki, zieleńce, niesłychanie cenne w wyrazie jaki otrzymuje powstające osiedle.

SZYMON WALTER — W naszych warunkach pewien wpływ na kształt osiedla ma również obowiązujący normatyw projektowania. Zgodnie z nim na jednym ha powierzchni zabudowanej 5-kondygnacyjnymi budynkami musi pomieścić się 625 mieszkańców. I żeby temu sprostać trzeba budynki stawiać jeden obok drugiego. W efekcie wszystkie te osiedla będą do siebie podobne.

„ODGŁOSY" — To bardzo charakterystyczne, że choć założyliśmy sobie, że przedmiotem naszej rozmowy będzie budynek mieszkalny i wszystkie problemy związane z jego powstawaniem, użytkowaniem, to przecież doszliśmy do zagadnień związanych z osiedlem. Myślę, że jest w tym pewna prawidłowość, bo w końcu o wartości mieszkania decyduje nie tylko sposób jego projektowania i wykonania, ale również jego usytuowanie — bliskość linii komunikacyjnych, możliwość uzyskania podłączenia do linii telekomunikacji, możliwość korzystania ze żłobków, przedszkoli, odległość od szkół, sklepów, warsztatów rzemieślniczych, kawiarni czy restauracji, a w końcu nawet odległość od garaży.

Z tego wynika chyba prosty wniosek, że na sprawy jakości mieszkania musimy spojrzeć w szerszy sposób. Widzieć nie tylko, to co zepsuł wykonawca, ale również błędy projektanta i inwestora. Tzn., że powinniśmy pod pojęcie jakości podciągnąć również sprawy architektury i urbanistyki — estetykę domu, w którym mieszkamy i racjonalne „uzbrojenie" osiedla, w którym znajduje się nasz dom.

SZYMON WALTER — To zrozumiałe, że każde rozważanie o budynku mieszkalnym sprowadza się do problemów osiedla, którego zresztą częścią jest ten budynek. I zrozumiałe, że o jego wartości, a ściślej o wartości mieszkania decyduje jego lokalizacja w dobrym lub złym osiedlu. Dobre — to nie tylko ładne, ale posiadające tzw. zaplecze. O niektórych sprawach już pomyślano, ale tutaj padło bardzo ważne słowo — garaże.

Często zapominamy o narastającej motoryzacji i o tym, że do tej pory na tysiąc mieszkańców przypadało około 30 samochodów. Obecnie szacuje się już ich na około 80, a w latach 1970—1975 na tysiąc mieszkańców przypadnie około 200 samochodów.

W osiedlach, które projektujemy, staramy się wydzielać specjalne powierzchnie pod garaże i parkingi. Jednak archaizmem jest projektowanie jednopoziomowych garaży. Najwyższy czas pomyśleć o wielopoziomowych garażach i parkingach.

JAN JUSZKIEWICZ — Spółdzielczość mieszkaniowa również bierze pod uwagę stale rosnącą ilość samochodów. W projektach urbanistycznych spółdzielczych osiedli zaplanowano miejsca pod garaże i są one budowane w miarę napływu pieniędzy, gdyż ich budowę finansują przyszli użytkownicy.

SZYMON WALTER — Wróćmy jednak do przedmiotu naszych rozważań — do problemów mieszkania. Padło tu pytanie — czy Łódź dysponuje wystarczającą ilością projektów? Zapytałbym, czy to są dobre projekty, bo o to przecież chodzi, taki był podtekst pytania dotyczącego wojewódzkiego zestawu. Przez 15 lat swojej pracy widziałem różne budynki — o dużych mieszkaniach, ale ordynarnych, źle zaprojektowanych i widziałem małe mieszkania, przyzwoicie zaprojektowane, o idealnej funkcji, przyjemne, rozkładowe. Przez te 15 lat mieliśmy w Łodzi wiele projektów — dobrych i złych. Różnorodność ogranicza jednak uprzemysłowienie.

BOLESŁAW TATARKIEWICZ — Przedstawiciele „Bawełny", którzy mają na Zarzewiu budować punktowe budynki 5-kondygnacyjne, szukają typowego projektu. My takiego projektu nie posiadamy w zestawie. Zaproponowano wyszukanie projektu w innych zestawach polskich i adaptowanie go. Niestety, w posiadanych zestawach nie było nic odpowiedniego. Powstała jednak okazja dla porównań. I co się okazało:

Dla projektowanych w Łodzi mieszkań określamy następujące warunki: ilość pokojów w mieszkaniach dla 4 osób powinna wynosić co najmniej 3, projektować należy przy uwzględnieniu górnej granicy normatywu powierzchni, pokój nie może być mniejszy niż 3 m kw., i kuchnie mają mieć bezpośrednie oświetlenie. Przy porównaniu okazało się, że w Gdańsku i Poznaniu większość mieszkań M-4 jest dwupokojowa. Część z nich ma pokoje o powierzchni poniżej 8 m. Poza tym przy projektowaniu mieszkań bierze się tam normatyw powierzchni powyżej średniej, ale część mieszkań ma powierzchnię niższą niż średnia. W mieszkaniach M-3 często występują kuchnie z pośrednim oświetleniem.

Najnowsze rozwiązania w Łodzi idą w kierunku rozluźnienia normatywów. W tym kierunku zdążają też autorzy centralnego zestawu. Może to doprowadzić do tego, że choć mieszkania rzeczywiście będą lepsze, to uzyskamy jeden typ bloków dla całej Polski.

„ODGŁOSY" — Powstała w budownictwie sytuacja, z której nie są zadowoleni ani inwestorzy, ani projektanci, ani wykonawcy. Przy czym, każdy widzi nie tylko i nie wyłącznie winę swego partnera. Odwrotnie — widzi się winy własne i cudze, a mimo to ciągle jeszcze jesteśmy dalecy od ideału. Gdzie leży tego przyczyna? Czy tylko w braku umiejętności i inwencji? Czy tylko w niedoskonałych warunkach technicznych? Czy być może w naszej niecierpliwości, kiedy chcemy rzeczy wielkich, a nie dostrzegamy, że jesteśmy świadkami procesu stawania się rzeczy, kiedy błędy są nieuniknione. Tylko gdzie leży granica tych błędów?

MARIAN BANASZCZYK — W procesie budowania są pewne rzeczy nierozwiązane. I to ani przez technikę, ani przez przemysł, ani przez projektantów. Przykładem niech będzie choćby akustyka. Nasze mieszkania są bardzo akustyczne. Jest to wina stosowanych materiałów, w pewnym sensie rezultat uprzemysłowienia. Tylko, że od samego początku nikt problemu nie podjął — sprawa nierozwiązana od początku.

W procesie tworzenia budynku uczestniczą trzej partnerzy — inwestor, projektant i wykonawca. Wszystkich trzech obowiązuje konieczność oszczędzania, ale najwięcej pretensji kieruje się pod naszym adresem. Przy projektowaniu rezultatów oszczędzania jeszcze nie widać. Dostrzec je można dopiero po oddaniu kluczy. Tylko, że wtedy już za późno — budynek stoi.

Inwestora i projektanta ograniczają normatywy. Co nas ogranicza? Sądzę, że trzeba realnie patrzeć i dobrze widzieć, jak wygląda nasze wykonawstwo?

Przede wszystkim — sprawa kadry. Pracuję w jednym przedsiębiorstwie 15 lat. Na przestrzeni tych 15 lat wielu moich kolegów inżynierów zdobyło w wykonawstwie doświadczenie i następnie odeszło do prac projektowych, a głównie do nadzoru. Nie zdarzyło się natomiast w tym czasie, aby ktoś, kto odszedł z wykonawstwa, znów tu powrócił. Obecnie młodzi inżynierzy i technicy przychodzą do przedsiębiorstwa budowlanego, aby odbyć tu praktykę, takie doświadczenie jest niezbędne. Jednak zaraz po odbyciu praktyki odchodzą.

Połowa kadry technicznej inwestorów wywodzi się z wykonawstwa. Często idą tam, pomimo, że dostają niższe wynagrodzenia. Po prostu praca w przedsiębiorstwie budowlanym jest ciężka. W tej sytuacji niezbędne są bodźce ekonomiczne, które by równoważyły te trudne warunki, tak aby ludzie z odpowiednimi kwalifikacjami szli do przedsiębiorstw budowlanych nie tylko po praktykę, ale aby tu pracować. Mocniejsza obsada przedsiębiorstw, to w rezultacie łatwiejsza praca dla projektanta i inwestora, to lepsza jakość.

ZBIGNIEW SŁABIAK — Nie wiem, na ile to może poprawić sytuację kadrową w przedsiębiorstwach budowlanych, ale ze strony inwestora wychodzi propozycja przejęcia przez budownictwo całości obowiązków związanych z realizacją projektu — wykonania i nadzoru. My kupowalibyśmy od wykonawcy gotowy blok w oparciu o dostarczaną mu dokumentację. Wydaje nam się, że to musiałoby w jakiś sposób zwiększyć zainteresowanie inżynierów pracą w przedsiębiorstwach.

MARIAN BANASZCZYK — Problem jakości — to jednak nie tylko kadra. Drugą jego stronę stanowi zaopatrzenie — jakość dostarczanych materiałów, kwalifikacje robotników, i znów tu trzeba zejść na grunt realnych możliwości. Wśród nich szukać wyjścia. Kwalifikacje robotników można i trzeba podnosić przez szkolenie. Jakość materiałów można podnosić przez tworzenie rezerwy. Stolarka jest zła, bo wilgotna — schnie długo. Brak właściwej rytmiki w pracy przedsiębiorstw powoduje, że nie zachowuje się niezbędnej technologicznie rezerwy czasu między jedną a drugą czynnością. Stąd tworzą się szpary w podłogach, paczą się drzwi, stąd biorą się wadliwie ułożone podłogi, źle założone zamki itp.

Nie należy twierdzić, że wykonawca specjalnie źle robi, gdyż zazębianie się szeregu spraw — m. in. umiejętności kadry, jakości materiałów — powoduje, że w technologii powstają zakłócenia, które wychodzą na jaw dopiero po zakończeniu budowli, już w czasie użytkowania i w rezultacie psują efekt i pomniejszają wysiłek wszystkich. Obciąża to jednak przeważnie tylko wykonawcę, a bywają takie sytuacje, że nawet przy względnym czy dobrym wykonaniu słyszymy ciężkie uwagi, które powinny raczej dotyczyć projektanta.

ZBIGNIEW SŁABIAK — Wydaje mi się, że wiele zależy od umiejętności załogi. Każdy materiał można zepsuć. Przy dobrych umiejętnościach można robić ładne rzeczy z brzydkich elementów i odwrotnie. Malowane w bazie na Wienławskiego elementy można potłuc w czasie transportu. Często dobrą stolarkę psuje się przez niedbałe przechowywanie. Zdarza się, że winni są i sami użytkownicy, którzy nieumiejętnie się z nią obchodzą, a winę składają na budowlanych.

Nie można przy tych rozważaniach nie widzieć wysiłków budowlanych, ale nie można też nie widzieć ich braków. Od choćby — sprawy rytmiczności. Moim zdaniem zbyt powoli trwają prace przy realizacji stanu surowego, a zbyt mało czasu poświęca się na wykończenie. Przy takim braku rytmiki nie będzie dobrej jakości prac wykończeniowych. Np. w trzecim kwartale br. zamiast przeszło 30 proc. zaawansowania w wykonywaniu spółdzielczych budynków, wykonano zaledwie około 15 proc. Plan obowiązuje nadal. Trzeba go wykonać. Kiedy? Pod koniec roku. Właśnie teraz nadrabia się braki, a mimo to istnieje poważna obawa, że nie wykorzystamy środków przeznaczonych na budownictwo spółdzielcze w bieżącym roku. Nawet w trakcie budowy można poprawić pewne błędy, tylko, że do tego potrzebna jest współpraca wykonawcy, inwestora i projektanta. Np. na osiedlu Konstytucyjna przesunięto tylko drzwi między przedpokojem a kuchnią i drzwi w łazience i znacznie poprawiła się funkcjonalność mieszkania i wzrosła powierzchnia kuchni. Podobnie, na nasz wniosek, zmniejszono loggie. W uzgodnieniu z członkami spółdzielni, którzy chętnie poniosą odpowiednie koszty i przy zwiększonych nakładach spółdzielczych, jesteśmy w stanie montować w przedpokojach szafy, wykładać łazienki glazurą czy terakotą. Jednym słowem poprawiać projekty — uzupełniać je. Niestety wykonawstwo broni się przed tym.

MARIAN BANASZCZYK — Zgadzam się zupełnie, że wykonawca może dobry projekt zepsuć oraz z tym, że dobry wykonawca może podnieść walory złego projektu. Tylko, że to nie zawsze zależy od jego dobrej woli — więcej od tego czym dysponuje, jakie ma obiektywne możliwości.

„ODGŁOSY" — Dialog między projektantami, inwestorami i wykonawcami trwa. Coraz częściej włącza się do tej rozmowy czwarty i najważniejszy partner — użytkownik. Przy czym będzie to partner o coraz donośniejszym głosie — bo jest to w przeważającej mierze partner spółdzielczy. W Łodzi oczekuje na mieszkania 29,1 tys. członków spółdzielni, w Krakowie — 27,7 tys., w Poznaniu — 23,9 tys., a we Wrocławiu — 26,1 tys. W latach 1967—1970 spółdzielczość mieszkaniowa da w Łodzi — 13,2 tys. mieszkań, w Krakowie — 6,2 tys. mieszkań, w Poznaniu — 7,4 tys. mieszkań, a we Wrocławiu — 3,9 tys. mieszkań. Interesujące jest to, że według przewidywań na koniec 1970 roku mieszkania spółdzielcze będą stanowiły w całości zasobów mieszkaniowych w Łodzi 12,9 proc., w Krakowie — 16 proc., w Poznaniu — 19,2 proc., a we Wrocławiu — 13,3 proc. Te liczby świadczące o rozwoju spółdzielczości mieszkaniowej nie powinny nas jednak zadowalać. Przy najwyższych potrzebach, przy ogromnym zaniedbaniu, które otrzymaliśmy w spadku i którego nie potrafiliśmy jeszcze zlikwidować, przedstawione tutaj dane wskazują, że mamy wiele do zrobienia i że sprawy budownictwa będą stale w centrum zainteresowania opinii społecznej. Można mieć nadzieję, że jeszcze nieraz przyjdzie nam powrócić do omawianych tu spraw.

Notował: LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Nożycami przez PRASĘ

O LEŚMIANIE

W 1937 roku zmarł Bolesław Leśmian. Być może, iż znajdą się interesujące materiały rocznicowe w czasopismach. Jak dotąd, z artykułem o poezji Leśmiana pióra Alicji Lisieckiej wystąpiła „Polityka". W artykule znalazło się nazbyt wiele stwierdzeń, ostrożnie się wyrażając, dalekich od znajomości rzeczy.

Mniejsza o sprawy merytoryczne, twórczość wielkiego poety można różnie interpretować. Mamy zresztą poważne jej interpretacje, wystarczy powołać się na Artura Sandauera, Jacka Trznadla.

Ale oto jak gdyby motto artykułu p. Lisieckiej:

Dziś, po prawie siedemdziesięciu latach, poezja „Sadu rozstajnego", „Łąki", „Napoju cienistego" i „Dziejby leśnej" nie straciła siły oddziaływania, wydaje się nowoczesna i bliska naszej epoce. Wygnana przez wiele lat z historii literatury polskiej wróciła potem na należne jej miejsce.

Otóż nigdy nie była wygnana, — niedoceniana, ale to już takie losy twórców, działa przecież historia korektorka wieczna. W Encyklopedii Gutenberga można przeczytać: „...obok Leopolda Staffa, jeden z najwybitniejszych poetów polskich starszego pokolenia w dobie powojennej...".

Oznajmia p. Lisiecka: „Krótki rok triumfu, rok, w którym wybrano Leśmiana członkiem PAL...". Dlaczego rok? Został wybrany do tej najwyższej przed wojną instytucji literackiej i był akademikiem do śmierci.

W międzyczasie był notariuszem w Hrubieszowie i Zamościu. To była, prawdę mówiąc, synekura. A że poeta został haniebnie oszukany przez jednego ze swoich dependentów, cóż na to można poradzić?!

Przemilczany? Przede wszystkim przez skamandrytów z „Wiadomości Literackich", choć persona w tym piśmie szczególnie grata, demonstracyjnie całowała go w rękę. Oddajmy głos miarodajnemu świadkowi, stryjecznemu bratu, Janowi Brzechwie:

„Leśmian był przez „Wiadomości Literackie" po prostu przemilczany. Wystarczy przejrzeć roczniki tego czasopisma, aby się o tym przekonać. I stan taki trwał przez kilkanaście lat, „Łąka", która wywarła wpływ na całe pokolenie poetów współczesnych, przeszkadzała zwycięskiemu pochodowi skamandrytów.

Wprawdzie Tuwim niezmiennie okazywał cześć Leśmianowi i na wpół serio przy każdym spotkaniu całował go w rękę, wprawiając Leśmiana w stan wielkiego zażenowania, jednak zmowa milczenia trwała...".

To chyba dlatego Leśmian drukował swoje wiersze w niedzielnych numerach rządowej „Gazety Polskiej", której kierownikiem literackim był Juliusz Kaden-Bandrowski.

Szkoda, że właśnie w tak poważnym piśmie jak „Polityka" ukazał się taki bałamutny artykuł.

Jego autorce polecamy lekturę: „Wspomnienia o Bolesławie Leśmianie" (Wydawnictwo Lubelskie 1966). Czytelnikom również.

A w pierwszym rzędzie czytajmy wiersze Leśmiana!

NEONY

W swoim czasie neony weszły w wieczorny i nocny pejzaż miast jako potrzeba reklamowa. Funkcja neonów w naszych miastach jest nadal nieokreślona. (To dodatkowy problem w „Odgłosowej" dyskusji na temat estetyki naszego miasta). Niewiele reklamują, czemu więc mają służyć. Zastanawia się nad tym Jacek Nowicki w „Kulturze". Nie podważa racji ich istnienia.

Pejzaż nocny miasta rzeczywiście zyskuje wskutek tego, że reklamy takie istnieją.

Warto może jednak zastanowić się trochę na czym właściwie powinno nam tu zależeć. W jakiej mierze w naszych warunkach reklama świetlna ma sens funkcjonalny, życiowy i jaka może być rola światła w formowaniu nocnego obrazu miasta.

Trzeba więc jasno uświadomić sobie ich funkcje.

O koncepcji generalnej w skali większego fragmentu miasta czy ulicy, czy choćby tylko jednego zespołu budowlanego nie mówi się nic. Problem nie istnieje.

No i trzeba zadbać o jakość techniczną tych neonów. Żeby nie gasły w parę dni po zainstalowaniu, jak to w Łodzi zdarzyło się nawet neonowi nad „Domem Technika", co wyjątkowo było kompromitujące dla tak szacownej w tym wypadku firmy!

NAPAŚĆ DŹWIĘKOWA (c. d.)

Nie pomogą żadne normy, administracyjno-porządkowe choć są istotne, jeśli nie zacznie się uwzględniać tej trapiącej i wzrastającej bolączki w nowym budownictwie. Uwagi na ten temat, pióra dr inż. Ryszarda Wojtowicza, znajdujemy znowu w „Polityce".

Sprawami akustyki budowlanej, tak istotnej dla współczesnego życia społecznego, budownictwo się nie interesuje. Mamy idealne warunki do rozwiązania tego problemu (uprzemysłowione budownictwo dysponujące prawnymi możliwościami, zorganizowanymi i owocnie pracującym zapleczem naukowo-badawczym, możliwościami wykorzystania nowych opracowań naukowych).

NIEDOBRA MIŁOŚĆ

Był aktorem w teatralnej trupie wędrownej pod pseudonimem Urbański. Stąd znajomość środowiska w „Komediantce" i „Fermentach". Mowa o „łódzkim pisarzu" Rejmencie — Reymoncie. O jego ambicjach aktorskich i zwłaszcza dramaturgicznych, nieudanych, pisze St. Kaszyński w „Życiu Literackim".

Tylko jedna z tych prób, jednoaktówka „Za późno" powstała w Paryżu, doczekała się realizacji tamże i w Warszawie w tym samym roku (1899), a jedna sztuka („Sceny dramatyczne") „Przegrana" ukazała się drukiem w czasopiśmie „Museion" (1911), w tym też roku napisana w Paryżu. W rękopisach nadal spoczywają niedokończone wersje dramatów oraz autorska adaptacja sceniczna „Chłopów".

DOWCIPY DŻENTELMENA Z „KULTURY"

Nasz klient Hamilton ogłosił felieton o wrażeniach z pobytu w Bułgarii, miejscami niebanalny. Ale na zakończenie demonstruje, niestety, próbkę swego wyrafinowanego dowcipu:

— O! O! Niech pani patrzy! — krzyczę w pewnym mieście bułgarskim do pewnej bardzo dystyngowanej pani z Polski.

Odwraca się zaintrygowana, bo myśli, że jej chcę pokazać sklep z futrami. Ale ja jej chciałem pokazać tylko osła z chytrze podwiązanym pod ogonem woreczkiem na g...

JAN OLECHNO

AFRYKA
a integracja nauk

Mówi prof. Stefan Strelcyn

Prof. Strelcyn w rozmowie z cesarzem Etiopii

Afryka przestała być dla nas ziemią nieznaną. Dowodami rosnącego zainteresowania zagadnieniami afrykańskimi są prace i osiągnięcia naukowców — afrykanistów różnych specjalności. Jednym z przejawów tego wszechstronnego wzrostu zainteresowań jest powstanie w r. 1962 Studium Afrykanistycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Jego założycielem i kierownikiem jest wybitny językoznawca-afrykanista, prof. Stefan Strelcyn, pełniący jednocześnie funkcje kierownika katedry Semityst yki UW.

W tym roku prof. Strelcyn otrzymał doroczną „Afrykańską Nagrodę Nobla" (ufundowaną w r. 1962 przez cesarza Haile Selassie (za wybitne osiągnięcia w badaniach etiopistycznych. W uzasadnieniu podkreślono, że Uniwersytet Warszawski jest obecnie jednym z największych ośrodków badań etiopistycznych w świecie.

*

— Jak długo zajmuje się Pan Profesor etiopistyką?

— Już dawno, bo więcej niż 20 lat. Początkowo zakres moich badań był szerszy — często zawężenie specjalizacji następuje w dalszym etapie pracy naukowej. Zajmowałem się komparatystyką języków chamito-semickich. Nauczałem nie tylko języków semickich ale np. i języka koptyjskiego. Odczytywałem inskrypcje palmirańskie, znalezione przez polskich archeologów w Palmirze (pracami tymi kierował, jak wiadomo, prof. Michałowski). Opisywałem stare rękopisy hebrajskie. Głównym jednak polem naszych badań była i pozostaje etiopistyka.

— Jaki jest zakres badań etiopistycznych Pana Profesora?

— Zawiera się on obecnie w dwóch głównych nurtach — zresztą szerokich i obejmujących różnorodne elementy.

A więc: po pierwsze — badania nad magiczną i medyczną literaturą etiopską, po drugie — badania nad historią języka gyyz (klasyczny język etiopski) i języka amharskiego (współczesny oficjalny język Etiopii).

Nad literaturą magiczną i medyczną zacząłem pracować tuż po wojnie, gdyż przystąpiłem do opisania 360 rękopisów etiopskich sprowadzonych do paryskiej Biblioteki Narodowej przez francuską wyprawę etnologiczno-językoznawczą znaną jako Mission Dakar-Djibiuti (1931—1933).

W niektórych rękopisach o treści magicznej znajdują się recepty medyczne, w których występuje wiele rodzimych nazw roślin. W pewnym okresie zająłem się właśnie nazewnictwem roślin etiopskich i ich identyfikacją botaniczną. Te poszukiwania i prowadzona w terenie (w Etiopii) ankieta w latach 1957—1958, doprowadziły mnie do odkrycia szeregu tekstów (traktatów) reprezentujących empiryczny nurt tradycyjnej medycyny etiopskiej. Nad tymi traktatami pracuję już lat dziesięć. W roku bieżącym jeszcze ukazać się ma tom I większej całości zatytułowanej **Médecine et plantes d'Ethiops** (Medycyna i rośliny etiopskie), który zawierać będzie krytyczne wydanie odkrytych traktatów medycznych wraz z przekładem i komentarzem.

Ukończony w maszynopisie tom II zawiera materiały amharskie zebrane przed dziesięciu laty a dotyczące nazewnictwa i użycia roślin abisyńskich, tom zaś III zawierać będzie terminologiczne słowniki — botaniczny i medyczny.

Jeśli chodzi o badania nad historią języka gyyz epoki poklasycznej oraz języka amharskiego, to jest to zadanie ogromne, wymagające szerokiej współpracy międzynarodowej. U nas prowadzi w tym zakresie prace kilka osób i priorytet nasz jest tu powszechnie uznany. Mamy nadzieję, że prace te stanowić będą podwaliny dla przyszłej historii języka amharskiego.

— Gdzie są przechowywane stare rękopisy etiopskie? W jaki sposób Pan Profesor do nich dotarł?

Większość dotąd znanych rękopisów etiopskich przechowywana jest w bibliotekach europejskich (największe zbiory posiada paryska Bibliothèque Nationale i londyńskie British Museum). Stanowią one jednak drobną cząstkę tych bogactw rękopiśmiennych, jakie znajdują się w Etiopii i których prawie nie znamy. Bardzo wiele z nich spoczywa w zbiorach klasztornych, a klasztory bywają w Etiopii często bardzo trudno dostępne, położone w wysokich górach i oddalone od szlaków komunikacyjnych. Z jednego z tych klasztorów (w Gunda Gundie) otrzymałem dzięki uprzejmości Etiopskiego Instytutu Archeologii, szereg sfilmowanych rękopisów zawierających żywoty przeorów. Jest to bardzo cenny materiał dla historii północnej Etiopii. Trzy z nich opracowali moi uczniowie i powinny się one ukazać drukiem w najbliższych latach w Addis Abebie.

Inne rękopisy znajdują się w etiopskich zbiorach publicznych i prywatnych. Nieraz, podczas poszukiwań w tym kraju, przyszło mi spędzać wiele godzin na klęczkach fotografując nowe rękopisy. Pragnę przy tym podkreślić wielką życzliwość mieszkańców Etiopii, a w szczególności tamtejszych uczonych, których pomocy zawdzięczam tak wiele w swojej pracy.

— Jak doszło do powstania Studium Afrykanistycznego?

— W pewnym sensie placówką macierzystą Studium była Katedra Semityst yki na Wydziale Filologicznym UW (powstała w r. 1950). Po kilku latach Katedra zaczęła skupiać pracowników naukowych, zajmujących się także niesemickimi językami afrykańskimi.

W r. 1959 w związku ze wzrostem zainteresowań problemami Afryki wyłoniła się potrzeba integracji dyscyplin afrykanistycznych. W różnych instytucjach naukowych, na różnych wydziałach badali zagadnienia afrykańskie ludzie często nic nie wiedzący o sobie. Zorganizowałem wówczas seminarium przy Zakładzie Orientalistyki PAN, w którym wtedy pracowałem. Na tym seminarium spotkali się po raz pierwszy pracownicy naukowi różnych specjalności. Efektem tych dążeń integracyjnych jest też Studium Afrykanistyczne, które powstało w r. 1962. Ma ono charakter międzydyscyplinowy. Na początku swojej biografii Studium nie miało ani żadnych podstaw materialnych, ani nawet własnej siedziby. Były natomiast już pewne podstawy naukowe i to różnorodne. A więc — językoznawstwo, które reprezentował personel Katedry Semityst yki, komórka badawcza w Instytucie Geograficznym, zajmująca się Afryką, Seminarium Historii Średniowiecznej Afryki, i wreszcie — co było dla nas bardzo cenne — polska stacja archeologiczna w Kairze, kierowana przez prof. Michałowskiego.

Prócz tego na różnych uczelniach pracowali ludzie zajmujący się problemami Afryki — zadaniem Studium było skoordynowanie ich prac i zainicjowanie nowych, zarówno indywidualnych, jak i zespołowych.

— Jakie są formy pracy Studium?

Dwa razy w miesiącu odbywa się seminarium, na którym są referowane prace naukowe, wyniki podróży naukowych lub ważniejsze pozycje literatury afrykanistycznej. Udział specjalistów różnych dyscyplin gwarantuje wszechstronną dyskusję, której nie można uzyskać w jednorodnym środowisku specjalistycznym.

Współpracujemy z różnymi instytutami PAN, Polskim Instytutem Spraw Międzynarodowych, Zakładem Problemów Gospodarczych Krajów Słabo Rozwiniętych, SGPIS.

Prócz ośrodków warszawskich współpracujemy z placówkami badawczymi w innych miastach, przede wszystkim z Uniwersytetem Jagiellońskim i środowiskiem szczecińskim.

Obok działalności naukowej Studium prowadzi nauczanie podyplomowe. Jest to nauczanie dwuletnie dla osób interesujących się Afryką z różnych względów, a więc lekarzy, inżynierów, dziennikarzy i innych specjalistów bądź to wybierających się do Afryki, bądź to uzupełniających swe wiadomości ze względu na pracę wykonywaną w kraju. Nie brak tu i hobbystów.

Obecnie przyjmujemy około 30 osób rocznie. Są to studia przeznaczone właśnie dla pracujących, więc często ich ukończenie i napisanie pracy dyplomowej wymaga heroicznych wysiłków. Chodzi nam o to, aby Studium nie stanowiło przedłużenia studiów, lecz przygotowywało specjalistów, którzy będą mieli możność wykorzystać nabyte w nim wiadomości.

Bardzo ważna jest dla nas sprawa wyjazdów naszych wykładowców i absolwentów do Afryki, bo cóż to za afrykanista, który nigdy nie był w Afryce. Ilość tych wyjazdów się zwiększyła, chociaż ciągle jest za mała. W każdym razie większość naszych wykładowców ma już za sobą staż pracy lub badań w Afryce. Niektóre prace dyplomowe publikujemy. Wydajemy także skrypty i prace naukowe (m. in. wybór materiałów z I Międzynarodowego Kongresu Afrykanistów w Akrze 1962).

Najważniejszym przedsięwzięciem naukowo-wydawniczym Studium jest założenie pierwszego w Polsce czasopisma afrykanistycznego, wydawanego co pół roku w języku angielskim i francuskim. Pismo to nosi tytuł „Africana Bulletin" (jest ono jak na nasze warunki poligraficzne bardzo szybko i dobrze drukowane przez Drukarnię UJ!).

Czasopismo ukazuje się od r. 1964 — zawiera ono oryginalne artykuły naukowe, dział informacji o naukowym życiu afrykanistycznym w Polsce oraz dział recenzji i „abstraktów" (dotyczą one książek i artykułów polskich, poświęconych problematyce afrykańskiej). „Africana Bulletin" posiada współpracowników w różnych uczelniach i instytutach badawczych warszawskich i pozawarszawskich. Pismo jest przeznaczone głównie dla afrykanistów i dla naukowych placówek afrykańskich.

Studium utrzymuje kontakt i prowadzi wymianę z przeszło 200 placówkami afrykanistycznymi poza krajem. Otrzymujemy z wymiany przeszło 150 tytułów czasopism i ilość ta stale wzrasta. W bibliotece posiadamy obecnie ok. 5,5 tys. tomów i przeszło 200 tytułów czasopism.

Prowadzimy przy pewnej pomocy CINTE centralny katalog „africanów" w bibliotekach polskich, który zamierzamy wydać.

— Jakie są plany naukowe Studium na najbliższą przyszłość?

— Zgodnie z planami rozwoju, wypracowanymi przez Radę Naukową Studium Afrykanistycznego zmierzamy do utworzenia pierwszych małych komórek badawczych z własnym planem badań. Zamierzamy zacząć w tym roku od uruchomienia Pracowni Historii i Historii Gospodarczej Afryki. W następnych latach chcielibyśmy uruchomić Pracownię Językoznawczą, a później i inne.

Rozmawiała:
ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

Chłopcy z BIAŁEJ

Dalszy ciąg ze str. 1

cyklach, czy może na rowerach tylko. Nie pamięta tego teraz nawet sam pan Arkadiusz Dan, kierowca, który uruchomił syrenę alarmową na dachu remizy. Przeraźliwy głos buczka rozległ się nad Białą i dotarł do okolicznych wiosek, usłyszeli go także w Koprzywnej, gdzie ogień kończył już swoje dzieło zniszczenia w zagrodzie Melonów i naparł na zabudowania sąsiadów.

Znajomy głos odmienił Białą. Nie zważając na skwar, ludzie co tchu wypadli z kościoła i z gospody na rynku, opuszczali domy i gromadzili się koło remizy. Dan siedział już za kierownicą esbeemu i wolniutko przejeżdżał wzdłuż tłumu, a kiedy się spostrzegł, że chłopaki pozajmowali już swoje miejsca na beczkowozie przycisnął pedał gazu do dechy. Zdążył tylko krzyknąć, że to w Koprzywnej i tyle go widzieli. Po chwili czerwone pudło esbeemu buczało już na szosie do Nowego Miasta.

Niedaleko tej szosy, w parku miejskim, chłopcy grali w piłkę. Różnęli tak w siatkówkę od białego dnia, ręce im zdążyły popuchnąć, mniej wytrwali wrócili do domu. Na placu zostało ich już tylko trzech, kiedy zawyła syrena, a potem od drogi doleciał dzwonek esbeemu. Słuchali tych głosów, chcąc się zorientować w jakim kierunku popędzi samochód, kiedy nagle zobaczyli podnoszący się nad Koprzywną dym i niemal poczuli świdrujący zapach spalenizny. Któryż chłopiec oprze się widokowi prawdziwego pożaru? Bez namysłu rzucili piłkę w trawę, Wojtek Budzianowski opamiętał się jednak i ukrył ją w krzakach. Czesiek Bednarski i Józek Jaskulski nie oglądając się pędzili na przełaj, łamali krzaki, deptali jakieś zasiewy, Wojtek ciągnął ich śladem i tak zdyszani, rozgrzani upałem i emocją wpadli wszyscy trzej do Koprzywnej. Nadjeżdżały nowe jednostki straży z okolicy, na wiejskiej drodze zrobiło się ciasno, przepędzano chłopców, i ci poczuli się oszukani, bo nie przylecieli tutaj bez tchu dla zwykłego gapiostwa. Od trzech lat należeli do harcerskiej drużyny młodzieżowej OSP, brali udział w ćwiczeniach strażaków, uczestniczyli w zawodach powiatowych i zajęli pierwsze miejsce. Ale tego oczywiście w zagrożonej przez ogień wsi, gdzie żywioł trawił chałupę za chałupą nikt nie mógł wiedzieć, ani pamiętać. Akcja była trudna, dwaj strażacy z Białej, Jan Banasiak i Zdzisław Cegielski ulegli poparzeniu, esbeem znalazł się w centrum ognia, maskę samochodu lizały płomienie i w każdej chwili mogła zająć się benzyna w baku. Chłopcy stali i widzieli to wszystko, ale nie mogli się przez ogień przedrzeć do swoich. Widzieli, jak potem Dan skoczył do samochodu i przejeżdżając przez palące belki wyprowadził esbeem w bezpieczniejsze miejsce. Później jeszcze zobaczyli komendanta z Białej, Jakubowskiego. Wtedy znaleźli szparę w tłumie strażaków i gapiów, nagle jak spod ziemi wyrośli przed komendantem.

— Druhu, w czym możemy pomóc?

Popatrzył na nich ze złością, potem z rozczuleniem. Brał na siebie dużą odpowiedzialność, bo takich smyków nie miał jednak prawa dopuszczać do ognia.

— Szukajcie dzieci — rozkazał — tylko uważajcie na siebie.

Uciekli zaraz, bo się bali, że Jakubowski po namyśle odwoła ten rozkaz.

2.

Kiedy mieli już rozkaz komendanta, jak złodzieje, po kryjomu zaczęli skradać się do esbeemu. Przy samochodzie nie było nikogo, w beczkowozie woda się skończyła i strażacy przeciągali linię od pobliskiej sadzawki. Chłopcy otworzyli skrzynkę z zapasowym sprzętem, założyli na siebie hełmy, przypasali toporki. Teraz, kiedy już byli tak przebrani, chociaż ciągle bardzo mali, nikt ich nie zatrzymywał, nie pytał, czego szukają. W obejściu Dudków, u Dudka Jana, bo Dudków jest kilku w Koprzywnej, właściciele wypuszczali z obory bydło, odbijali deski z kojców młotami, bo drogę przez drzwi odciął już ogień i zwierzęta oszalałe ze strachu miotały się w kojcach. Dom mieszkalny, drewniany, ale kryty blachą, wydawał się nienaruszony, strażacy od wierzchu polewali go wodą. Wtedy to matka Dudka Jana przypomniała sobie o dziecku, które miała pod swoją opieką. Nikt nie widział malca imieniem Darek, kiedy wybuchł pożar, później nikt nie miał głowy, żeby o tym pamiętać, teraz zaś, kiedy bydło już było ocalone, wszyscy przypomnieli sobie o chłopcu, rozległy się krzyki i lamenty, wszyscy przypuszczali, że stało się to najgorsze. Na szczęście ktoś widział malca na łąkach i lamenty zaraz ustały. Po to zresztą, żeby się podnieść znowu z większą niż poprzednio siłą.

W ogniu stał teraz dom mieszkalny Dudka Jana, to nie był pożar, kłęby dymu i płomieni unosiły się nad dachem. Dwie kobiety rzuciły się w tamtą stronę, dwie matki: żona Dudka i żona Melona. W zamkniętej na kłódkę izbie, którą już toczył ogień, pozostało dwoje maleńkich dzieci: dziewczynka i chłopiec, dziewięciomiesięczne i pięciomiesięczne niemowlęta.

Trzej chłopcy przebrani w strażackie hełmy wyprzedzili zapłakane kobiety. Czesiek Bednarski pierwszy dopadł do kłódki. Trzymała mocno. Rąbnął toporkiem, nie puszczała. Jaskulski chciał mu pomóc, ale wtedy na hełm spadła mu płonąca belka. Oszołomił go ten cios na chwilę, ale nie obezwładnił.

— Przez okno — krzyknął i wyleciał na drogę. Za nim pomknął Wojtek Budzianowski. Podważyli ramę. Puściła. Kiedy Czesiek Bednarski znalazł się pod oknem koledzy znikali już we wnętrzu czarnej od dymu izby.

Szli tam po omacku, w oczach mieli łzy, choć nie płakali, wydawało im się, że słyszą coś jakby jęk a raczej pisk, ale zaraz ucichł. Wołali, nikt nie odpowiadał, tylko Czesiek pytał czy ma wejść za nimi, kazali mu poczekać. Potem Józek natknął się

ROMAN GORZELSKI

Twierdza nad Bugiem

Najpierw Terespol. Wsiadają strażnicy i celnicy polscy, potem radzieccy, bo już rzeka graniczna, Bug, wyczołguje się spomiędzy łąk. Wreszcie most na rzece. Wstaję i podchodzę do okna. Pociąg dudni, jakby z namysłem wielkim, powoli przetacza się na drugą stronę rzeki — bo tam jest inny językowo i kulturowo teren, jakiego nie ma nigdzie, w żadnym zakątku świata. Jaki on jest ten inny kraj, inny świat, chociaż leżący na naszej planecie? Jaki on jest i jacy są ludzie stamtąd, ludzie oglądani przeze mnie dotychczas jedynie w kinie i w telewizji, ludzie o jakich pisał Szołochow i Aksjonow. Jacy oni są? Czy potwierdzą się moje myśli o nich? I oto już widzę pierwszego z nich. Stoi z karabinem na wysoko umieszczonym, kilkunastometrowym pomoście. Karabin jest z bagnetem i sterczy mu za plecami. W tym miejscu dochodzę do wniosku, że wszyscy żołnierze są diabelnie do siebie podobni. A ekspres Berlin — Warszawa — Moskwa zbliża się już do Brześcia. Żołnierz z karabinem, na wieży, z zainteresowaniem patrzy na pociąg przez lornetkę. Odprowadza go wzrokiem. Wychylam się z wagonu i głowę wyciągam w jego stronę. O czym on może w tej chwili myśleć ten tam towarzysz na wieży, a ja też patrzę, i chce mi się pomachać do niego ręką, bo wydaje mi się, że tym samym pomachałbym do Borysa Korniłowa, i przypominam sobie jego tekst „Nas utro wstrieczajet prachładoj, nas wietrom wstrieczajet rieka...". A po tym wierszu, który stał się nawet po niepotrzebnej i niewybaczalnej śmierci autora, piosenką, bardzo popularną piosenką, po jakichś tajemniczych, luźnych skojarzeniach zaczynam recytować gdzieś w głębi pamięci inny tekst, znany z czasów ostatniej wojny i po wojnie: „My mirnyje ludi, no nasz broniepojezd stoit na zapasnom puti..."

I oto Brześć. Pociąg się zatrzymuje. Tuż przy samym torze siedzą radzieccy żołnierze w wyjściowych mundurach i palą papierosy z ustnikami. „Długie trzymanie i krótkie palenie" — któryś z moich znajomych powiedział o nich. Bo takie są te „Biełomory", „Kazbeki", „Bogatyri"... Żołnierze są z oddziałów pogranicznych. Czapki garnizonowe z zielonymi otokami, jak u nas. Ale niektórzy z nich mają podejrzanie krótko ostrzyżone głowy. I ci właśnie są w czapkach. Wtedy przypominam sobie, że tak strzyżeni są tylko pierwszoroczni żołnierze, „sałagi", jak ich nazywają ze starszych roczników koledzy. Taki jest zwyczaj w wojsku radzieckim, zwyczaj panujący od lat i wcale się nie dziwię kolanowatogłowym „sałagom", że nie zdejmują czapek, bo przecież wstyd jest być „młodym" żołnierzem, który dopiero kilka miesięcy temu zdjął cywilne ciuchy. Żołnierze z ciekawością patrzą na wyglądających przez okna pociągu pasażerów z Warszawy i Berlina i widocznie marzą im się dalekie podróże... A pociąg stoi kilka minut obok jakiegoś biura — budynku, który tylko częściowo jest wzniesiony, bo na drugiej połowie jeszcze nie ma dachu, ale już tradycyjna wiecha przywiązana jest do długiej jak antena telewizyjna, żerdzi. Pociąg rusza , pozostają za nami żołnierze i po chwili jesteśmy na śródmiejskim dworcu Brześcia. I w tym momencie wydaje mi się, że wydobyłem się z jakiegoś małego, ciasnego pokoju, i że mogę w tej chwili oddychać całą piersią, mogę iść, albo jechać od koła podbiegunowego aż do gorącego z rozchwianymi palmami krajobrazu ciepłego Czarnego Morza — i jeszcze dalej, bo nie będę musiał przechodzić co chwila przez komory celne, nie będę musiał pokazywać urzędnikom w mundurach swojej wizy tranzytowej czy nietranzytowej: tu inny świat, świat kobiet i mężczyzn wielopaństwowych, mówiących setką, a może i więcej niż setką, języków, ludzi, którzy znieśli między sobą granice i wrogość...

Tak właśnie myślałem, kiedy pociąg zatrzymał się na dworcu głównym w Brześciu, a ci pasażerowie, którzy jechali na południe — wysiadali, by przesiąść się na inny pociąg. I ja też wysiadłem, a kierowany tzw. owczym pędem, niepostrzeżenie, znalazłem się w błyszczącej, pachnącej perfumami i owocami, przerażająco czystej, pełnej haseł i różnojęzycznych napisów, pierwszej w moim życiu, radzieckiej poczekalni dworcowej. Jeszcze trzy godziny miałem do odejścia najbliższego pociągu w stronę Kijowa. Trzy godziny w Brześciu, to jak na takie miasto, naprawdę niewiele. Przez trzy godziny można przeczytać gazety i tygodniki w poczekalni, można też wyjść do miasta i chodzić po szerokich, pełnych drzew ulicach. Miałem właśnie zamiar zrealizować ten ostatni pomysł, zmieniłem czek u czterdziestoparoletniej „diewuszki" siedzącej w kasie, na szeleszczącą czerwonobanknotową gotówkę i tak uzbrojony już chciałem wyjść pomostem nad torami „to the town", kiedy do poczekalni wszedł starszy, nobliwie wyglądający pan z prostokątnym, płaskim, białym aparatem przewieszonym przez szyję i z czymś, co przypominało mikrofon, w ręku. Pan ów podniósł do ust mikrofon i wtedy zadudniło w całej sali: „Za chwilę odjedzie z dworca autobus do muzeum — twierdzy brzeskiej. Kto z towarzyszy-pasażerów ma ochotę, prosimy". Siwowłosy mężczyzna zniknął po chwili w innej sali wielkiego i wypucowanego na glanc dworca. Słyszałem jeszcze jego głos, kiedy wrzucając piętnaście kopiejek do przechowalni-automatu, wsuwałem swoją torbę podróżną, i już zupełnie swobodny, uwolniony od bagażu wyszedłem w kierunku samochodu, w którym siedzieli obwieszeni aparatami Amerykanie, prawie wszyscy w okularach, krótkowzroczni i raczej otyli Niemcy, czarniawi Węgrzy i jacyś jeszcze obcojęzyczni turyści, których ze względu na brak czasu nie zdążyłem zidentyfikować. Ruszyliśmy. Jedni żuli gumę, inni rozmawiali, ale wszyscy z wytężoną uwagą spoglądali przez szybę autokaru i patrzyli zaciekawieni, bo chcieli wiedzieć jakie jest to pierwsze sowieckie miasto, o którym tyle się pisze i mówi, a mówi się z podziwem i słucha z niedowierzaniem, no, bo sama historia twierdzy brzeskiej jest ponadludzka i już tym samym nieprawdopodobna. A było to tak...

We wrześniu 1939 roku wojska radzieckie zajęły Brześć, a wraz z nim i starą leżącą nad samym Bugiem, zbudowaną w latach trzydziestych ubiegłego stulecia carską twierdzę. Od tego czasu stale przebywali tam żołnierze garnizonu radzieckiego. I nagle wczesnym czerwcowym rankiem 1941 roku napadli Niemcy. Bez wypowiedzenia wojny na brzeską twierdzę spadły tysiące bomb. Świadkami tych niezapomnianych zdarzeń są poszczególne ocalałe części fortu. Jeszcze zupełnie niedawno można było znaleźć wśród traw porzucone i pokryte śniedzią łuski pocisków karabinowych, i między kawałkami rozbitych cegieł sterczały przestrzelone, pokryte rdzą hełmy, automaty, karabiny maszynowe: wszystko to świadczyło o tym, że radzieccy żołnierze walczyli tu do ostatniego naboju...

„1941 rok, 26 lipca. Było nas troje, warunki trudne, ale nie upadliśmy na duchu i umieramy jak bohaterzy", „Ja umieram, ale nie poddaję się! Żegnaj, Ojczyzno! 20. VII. 1941". — takie napisy pozostawili po sobie bohaterowie tamtych dni. O ich męstwie mówią także dokumenty zdobyte na wrogu. Oto co donosił dowódca 45 faszystowskiej dywizji, generał Schlipper, już po opanowaniu twierdzy: „Nagła napaść na fort, w którym znajduje się odważny obrońca, kosztuje wiele krwi". Ten truizm jeszcze raz sprawdził się przy zdobywaniu Brześcia. „Rosjanie walczyli z wyjątkowym męstwem. Tym samym pokazali, że mają dobrze wyszkoloną piechotę i duże serca do walki...".

A Niemcy atakowali twierdzę z pomocą artylerii, lotnictwa, rzucali do boju czołgi, miotacze ognia, gazy łzawiące, trzymali pod ciągłym obstrzałem wszystkie dojścia do wody, proponowali kapitulację. Odpowiedź jeszcze dziś można odczytać na czerwonych, pooranych przez pociski murach cytadeli: „Umriom no iz krieposti nie ujdiom". Mijały dni, tygodnie. Faszyści ciągle atakowali, pomimo wielkich strat w ludziach.

A Rosjanie? Jaki los ich spotkał? Bo przecież twierdza miała kilka samodzielnych punktów obrony. Oprócz żołnierzy były tam również rodziny oficerów, które dopiero w końcowej fazie walki opuściły fort, na który Niemcy zrzucali beczki z płonącą benzyną i smołą oraz bomby ważące po 1800 kilogramów. Dopiero trzydziestego drugiego dnia, P. Gawriłow został zupełnie sam, ale mimo to nie poddawał się aż do momentu, kiedy został ogłuszony wybuchem. Potem już w obozie jenieckim pod Brześciem, faszyści przyjeżdżali popatrzeć na tego radzieckiego oficera, w którym było tyle silnej woli i męstwa. Jak bohater walczył i tak też zginął kapitan W. Szablowski, gdy rozbrojonego, wraz z innymi rannymi żołnierzami pędzono przez most, kapitan krzyknął wtedy „za mną!" i rzucił się do wody. Żołnierze skoczyli za nim, bo woleli śmierć niż faszystowską niewolę. Ale po wojnie okazało się, że nie wszyscy obrońcy potężnej brzeskiej twierdzy zginęli. K. Sobolewski i A. Petlicki mieszkają w Mińsku, A. Romanow i P. Koszkarow w Moskwie, P. Gawriłow i A. Bessonow w Krasnodarze, S. Matewosjan i S. Nuridżanjan w Armenii, S. Suchołucki w Kijowie...

O niezwykłych obrońcach Brześcia pisano wiersze, układano pieśni. Istnieje też pełna galeria portretów bohaterów twierdzy. Wśród wielu autorów spotykamy nazwiska znanych pisarzy radzieckich: Konstantego Simonowa i Lwa Oszanina.

Muzeum brzeskie istnieje zaledwie dziesięć lat, ale już te tragiczne eksponaty obejrzało kilka milionów ludzi, turystów prawie ze wszystkich kontynentów, a także delegacje z pięćdziesięciu ośmiu krajów świata.

W księdze honorowej muzeum widnieje wiele nazwisk uczonych, mężów stanu, pisarzy, artystów, ale dla Polaka, przeglądającego tę księgę najważniejsze i najbliższe jest — ukryte w gąszczu podpisów, Maurice'a Thoreza, Palmiro Togliattiego, czy znanego amerykańskiego malarza Rockwella Kenta — nazwisko polskiego patrioty Władysława Gomułki.

CZŁOWIEK ŚWIAT POLITYKA

W całym kraju, w dniach od 20 do 30 listopada odbyły się wystawy książki społeczno-politycznej pod hasłem: Człowiek — Świat — Polityka. W Łodzi — centralna taka wystawa miała miejsce w niedawno otwartej Księgarni Współczesnej (aleja T. Kościuszki), która zapewne w niedługim czasie zostanie jedną z najbardziej reprezentacyjnych księgarni w naszym mieście. Ma po temu wszelkie warunki; przestronna, położona w środku miasta, znakomicie wyposażona. Chodzi tylko o to, aby łodzianom weszła w krew — jak Domy Książki przy ulicy Piotrkowskiej — ale na to trzeba trochę czasu. W Księgarni Współczesnej jest taki zestaw katalogów, że można tu otrzymać informację o każdej książce, która ukazała się w Polsce po wyzwoleniu, a to rzecz wcale niebagatelna — zarówno dla ucznia czy studenta jak i działacza społecznego, politycznego, dziennikarza i publicysty.

Przy Księgarni Współczesnej funkcjonuje także Ośrodek informacji o wydawnictwach społeczno-politycznych i rolniczych. Każdy mieszkaniec Łodzi, każdy zainteresowany tą sferą problematyki mieszkaniec województwa łódzkiego (nawet innych województw: zielonogórskiego, rzeszowskiego) może zwrócić się tu po poradę czy instrukcje — listownie lub osobiście — może zakupić potrzebną pozycję — wprost na miejscu lub za pośrednictwem poczty.

Wróćmy do „Dni książki społeczno-politycznej". W Łodzi odbyło się z tej okazji sto kilkanaście odczytów, kilkadziesiąt spotkań autorskich, liczne wystawy i kiermasze w szkołach, uczelniach, bibliotekach i zakładach pracy. W Księgarni Współczesnej z czytelnikami spotkali się między innymi — Barbara Wachowska i Tadeusz Czapliński; wygłaszając prelekcje o problemach łódzkiego ruchu robotniczego; oraz Włodzimierz T. Kowalski, autor frapującej książki „Walka dyplomatyczna o miejsce Polski w Europie 1939—1945".

Na wystawę w Księgarni Współczesnej złożyło się 1.176 tytułów, które tworzą ogromny wachlarz tematyki: Człowiek — Świat — Polityka. Można tu znaleźć imponująco wydane prace klasyków marksizmu i leninizmu, bogaty zestaw opracowań o życiu i twórczości Marksa, Engelsa i Lenina. Między innymi: N. K. Krupska: „Wspomnienia o Leninie", M. Fritzhand: „Myśl etyczna młodego Marksa", W. Najdus: „Lenin i Krupska w Krakowskim Związku Pomocy dla Więźniów Politycznych", J. Sieradzki: „Polskie lata Lenina", H. Katz: „Karol Marks i jego epoka".

Obszernie prezentuje się dział: Polska Ludowa — Główne problemy polityczne, społeczne i gospodarcze naszego kraju. Znajdziemy tu przemówienia i artykuły Władysława Gomułki, Józefa Cyrankiewicza, M. Spychalskiego oraz takie pozycje, jak „Wybór pism publicystycznych" S. Ignara, czy „Z myślą o Polsce" Cz. Wycecha; dział ten, oprócz publikacji z zakresu rolnictwa, przemysłu, kultury, pedagogiki, ekonomii i socjologii, przynosi polską beletrystykę zaangażowaną: dramat, prozę, reportaż, pamiętniki i wspomnienia.

Dalsze działy wystawy: Człowiek — Świat — Polityka, to: Problematyka światopoglądowa — laicyzacja życia społecznego — zasady polityki wyznaniowej Polski Ludowej, m. in. takie publikacje jak: T. M. Jaroszewskiego: „Nauka społeczna kościoła a socjalizm" i „Renesans scholastyki", J. Koberdowej: „Watykan a powstanie styczniowe", Z. Kosidowskiego: „Opowieści biblijne", T. Brezy „Urząd" i „Spiżowa brama" i szereg innych.

Problematyka społeczno-wychowawcza, Ekonomia polityczna, dalej — Najnowsze dzieje Polski, dział obejmujący taki zakres tematyki historycznej jak: Patriotyczne i rewolucyjne tradycje naszego narodu, rola i miejsce ruchu robotniczego w 1000-letnich dziejach Polski, Druga wojna światowa, historyczne znaczenie PPR, lata walki o zwycięstwo i utrwalenie władzy ludowej.

Dział — Rewolucja Październikowa i jej znaczenie dla Polski i świata — prezentuje oprócz znanych i cieszących się wielkim zainteresowaniem książek o charakterze beletrystycznym, reportażowym, np.: „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem" J. Reeda, „Wspomnienia rewolucjonisty" S. Pestkowskiego, „Rosja we mgle" H. S. Wells'a, także prace o profilu naukowym i dokumentarnym, tak np. W. Najdusa: „Udział Polaków w Wielkiej Rewolucji Październikowej", L. Kalestyńskiej, A. Kochańskiego i W. Toporowicza (opracowanie) „Księga życiorysów Polaków uczestników Rewolucji Październikowej", M. Zanda: „Spór o władzę po Rewolucji Październikowej w Rosji", A. Bodnara: „Polska — ZSRR. Współpraca gospodarcza. — W 50 rocznicę Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej" i inne.

Dział — Walka narodów kolonialnych i nowo wyzwolonych z imperializmem i zacofaniem (reportaż, proza, dokumenty, monografie naukowe) uzupełnia wiedzę o przemianach w Azji, Afryce i Ameryce Łacińskiej. Warto zaakcentować tu publikacje M. Azembskiego, C. A. Baltra, M. Dobb'a, K. Keplicza, L. Ratajskiego, J. Urbaniaka, L. Wolanowskiego i W. Żukrowskiego.

* * *

Na zakończenie tej krótkiej i jakże niepełnej bibliografii należy podkreślić wkład Wydawnictwa Łódzkiego do ogólnopolskich „Dni książki społeczno-politycznej". Zasłużonym powodzeniem wśród czytelników cieszą się publikacje Wiesława Jażdżyńskiego, Władysława Lecha Karwackiego, Lucjana Kierczyńskiego, Pawła Korca; świetna jest monografia „Włókniarze łódzcy" — z historycznym, społeczno-gospodarczym, kulturowym i etnograficznym ujęciem zagadnienia; zasłużony rozgłos zdobywa sobie książka: „Z dziejów ruchu robotniczego w Łodzi", do której wstęp napisał Hieronim Rejniak a poszczególnymi współautorami są: Józef Śmiałowski, Paweł Korzec, Izydor Hałas (I. Hałas jest również jednym z organizatorów wystawy w Księgarni Współczesnej), Ludwik Mroczka, Barbara Wachowska, Tadeusz Czapliński i Mieczysław Kołodziejczak.

Inne ciekawe pozycje Wydawnictwa Łódzkiego to: „Wspomnienia weteranów 1905 i 1917 roku" — tom wspomnień piętnastu działaczy ruchu robotniczego, związanych z Łodzią, „Strzał przed fabryką Biedermana" — książka Wiktora Lemiesza, poświęcona życiu i śmierci młodego komunisty Szymona Harnama, itp.

Wystawy: Człowiek — Świat — Polityka były potrzebnym i doniosłym wydarzeniem kulturalnym w naszym kraju i w naszym mieście.

M.W.

---

na coś na środku izby. Pomacał rękami: dzieci. Wziął jedno na rękę.

— Tam jest jeszcze drugie — powiedział do Wojtka.

Tamten chciał jeszcze spytać, gdzie, ale też już natrafił na kołyskę. Zabrał dziecko i zawrócił do okna. Czesiek stał tam, gdzie mu kazali i odbierał od nich niemowlęta i zaraz przekazywał je dalej, matkom.

Wszyscy trzej, jeszcze pijani od dymu i ognia, ze zdziwieniem patrzyli na scenę czułości, jaką matki zgotowały swoim cudem ocalałym dzieciom. Oni sami nie mieli ani świadomości tego, czego dokonali, ani świadomości czasu. Wojtek zaczął się trochę martwić o piłkę: czy jej tam przypadkiem ktoś niepowołany nie odnalazł w krzakach. Pożar jeszcze trwał, ale strażacy już zapanowali nad sytuacją. W ich ruchach mniej już teraz było gorączki, więcej pewności siebie. Chłopcy ruszyli drogą i weszli na jakieś podwórko, gdzie z chałupy wynoszono rzeczy, na wszelki wypadek. Pomogli przenosić ciężkie szafy i toboły.

Zgliszcza parowały jeszcze, kiedy strażacy zaczęli się rozjeżdżać. Ogień został stłumiony i chłopcy postanowili odszukać esbeem z Białej. Kiedy podchodzili do samochodu jakiś strażak zastąpił im drogę. Nie bali się niczego, bo obok niego stał ich komendant, pan Jakubowski.

— To są te zuchy? — pytał nieznajomy i zanotował sobie w notesie ich nazwiska.

Od strażaków dowiedzieli się, że to komendant z powiatu.

3.

Tego dnia komendanta Jana Jakubowskiego nie było w Białej, nie było go też w pobliskiej wiosce, gdzie szykuje się weselisko i gospodarze wyznaczyli już tęgiego prosiaka na stół. Jakubowski dorabia sobie masarstwem i jest rozrywany w okolicznych wioskach. Tego dnia był w Białej tylko kierowca esbeemu pan Arkadiusz Dan, coraz bardziej zniecierpliwiony, jako że poszukiwania komendanta nie dawały żadnego rezultatu. Ktoś miał niby Jakubowskiego widzieć, ale na miejscu okazywało się, że komendanta OSP nie było tam i nie ma. Dan zdenerwował się nie na żarty, sypnął do komendantowej chłopaka, może on czego się dowie. Ale poseł wrócił z niczym, a my siedzieliśmy sobie jak dawniej w restauracji przy kawce. Dan opowiadał o pożarach, do których woził strażaków z Białej, przeważnie poza miasteczko, bo miejscowi za jego pamięci nie palili się więcej niż dwa razy. Jest za kierowcę w OSP dopiero dwa lata, ale widział już spalonego człowieka.

— To było dziecko, chłopak — przypomina sobie pan Arkadiusz — w stodole się schował.

— No i ? — zapytałem, aby dać memu rozmówcy możliwość zakończenia tych wspominków błyskotliwą pointą.

— Na popiół. Nawet nikt nie mógł poznać czy to dziecko czy inwentarz.

Zrobiło się cicho, także przy innych stolikach, bo chyba cała sala słuchała o czym rozmawiamy Ale Danowi nie spodobała się ta cisza, bo rąbnął:

— Zaraz przyjdą chłopaki, zobaczy pan, dorosłego by sprzedali.

Potem do restauracji wszedł Wojtek Budzianowski, i nie sam, tylko z matką. Miał na oko nie więcej niż 10—11 lat. Spytałem go:

— Do której ty chodzisz?

Wojtek popatrzył na Dana, jakby stamtąd spodziewał się pomocy i wyznał nieśmiało:

— Do ósmej.

I cały czas popatrywał to na kierowcę esbeemu, to na matkę. Dopiero jak doszliśmy do pożaru w Koprzywnej rozkręcił się, powiedział nawet nie pytany o odznace „Wzorowego Strażaka".

— Nosisz ją? — zapytałem, aby mu trochę pomóc.

Zaprzeczył ruchem głowy. Odznakę trzyma w takim pudełku. Ma też prawdziwy strażacki mundur. Dostał go już ostatnio, razem z medalem „Za Ofiarność i Odwagę w Obronie Życia i Mienia".

— Bo „Wzorowego Strażaka" dostałem jeszcze w wakacje, zaraz po tym pożarze.

Kiedy patrzyłem na tego zmieszanego blondynka ubranego po chłopięcemu w niebieskawy dres, zrobiło mi się wstyd, że muszę z nim rozmawiać w knajpie, gdzie raczej nie powinno się zapraszać dzieci. I kiedy się dowiedziałem, że on jada obiady w restauracji, bo tam pracuje mama, kamień spadł mi z serca.

Wreszcie wyczerpaliśmy wszystkie interesujące nas kwestie i wtedy Wojtek szczerze zauważył:

— Tak samo pytali mnie o ten pożar w straży.

— A Jaskulski przyjdzie? — wtrącił się wtedy Dan.

Nie, Jaskulski nie mógł przyjść, pojechał do lekarza, do Rawy. Ale Bednarski, który nigdzie nie wyjeżdżał, także nie przychodził. Więc wsiedliśmy do samochodu, żeby odszukać chłopca. Stał akurat na rynku w gromadzie rówieśników, kiedy zatrzymaliśmy przed nim wołgę. Chłopcy o coś się kłócili, a Dan wyszedł do nich i kazał Cześkowi podejść do samochodu. Zaprosiłem go do wnętrza, na przednie siedzenie. Jest w tym samym wieku, co Wojtek Budzianowski, ale ma bardziej skupiony wyraz twarzy.

Zacząłem stereotypowo:

— Pożar w Koprzywnej pamiętasz?

Opowiadał bez skrępowania, pełnymi zdaniami. I o tym, że rodzice pracują w Prezydium. Matka jest sprzątaczką, ojciec dozorcą. I o braciach, których ma pięciu. Trzech z nich jest razem z nim w młodzieżowej drużynie strażackiej. Potem, że nagrodę pieniężną od PZU trzyma na książeczce, że także gazety o tym pisały. Medal „Za Ofiarność i Odwagę w Obronie Życia i Mienia" wręczano mu w szkole, koledzy trochę mu tego zazdrościli, ale on go na razie nie nosi. „Wzorowego Strażaka" przyznano mu, ale nie dostał.

— Jakże to tak? — zdziwiłem się.

— Nie dostałem i koniec — stwierdził chłopiec z żalem. — Jak wręczali odznakę Józkowi i Wojtkowi, nie było mnie w Białej. To było w wakacje, pojechałem na obóz do Wielunia.

— No, a potem?

— Nie dostałem — uciął krótko, ale w głosie jego było jakieś wahanie.

— Może ci nie przyznali tej odznaki?

Zdenerwował się:

— Jak nie przyznali? Przyznali. Tylko komendant z Rawy zapomniał ją zabrać.

— Napiszę o tym — obiecałem obserwując jak w jednej chwili twarz chłopca przemieniła się, jak promienieje z dumy.

Szedł do kolegów rozpromieniony, rozstąpili się przed nim.

— Co wy tak — zdążył tylko powiedzieć.

Dan kiwał ręką, kiedy przejeżdżaliśmy obok remizy. Opadłem na siedzenie. To strasznie ciężka praca przeprowadzać wywiady z malcami.

KONRAD FREJDLICH

WŁADYSŁAW SMÓLSKI

ŁÓDŹ — dobre miasto

Do Łodzi przyjechałem w pierwszych dniach maja czterdziestego piątego roku. Był wieczór, lał deszcz, ciężarówka, która przywiozła „łebki", wysadziła mnie na Piotrkowskiej. Miałem adres jednego z moich podopiecznych, który zaprosił mnie do siebie na nocleg. Dozorca powiedział mi jednak, że lokator ów jeszcze się tu nie wprowadził, a mieszkanie stoi zamknięte. Później się dowiedziałem, że to jego przedwojenne mieszkanie.

Sytuacja moja była nie do pozazdroszczenia. Znalazłem się po raz pierwszy w obcym mieście, bez żadnego oparcia. W dodatku nadal padał deszcz i zbliżała się „godzina policyjna". Myślałem, że nie pozostaje mi nic innego, jak udać się do najbliższego komisariatu milicji i prosić o nocleg. Ale moje dobre duchy i tym razem przyszły mi z pomocą. Przypomniałem sobie, że w notesie mam adres jednego z moich dalekich krewnych, który niedawno dostał służbowe mieszkanie w Łodzi. Ku memu radosnemu zdziwieniu okazało się, że odległość do niego wynosi ledwie kilkadziesiąt kroków. Starczyło przejść na drugą stronę Piotrkowskiej. Krewniak na moje szczęście był w domu. Przenocowałem u niego, a nazajutrz udałem się na poszukiwanie znajomych.

Kiedy rano po raz pierwszy wyszedłem na Piotrkowską, byłem oczarowany! Po parumiesięcznym przebywaniu wśród zgliszcz i ruin, które stanowiły wówczas Warszawę, znalazłem się w mieście nietkniętym przez wojnę. Po wczorajszym deszczu nastał piękny, niedzielny ranek. Piotrkowską dobrze wymieciona i czyściutka jechały sznurem tramwaje nieomal puste. Ich głośne dzwonienie napełniło mnie wzruszeniem. To było normalne, wielkomiejskie życie, za którym tak się stęskniłem przez pół roku popowstaniowej tułaczki!...

Potem nastąpiło istne szaleństwo. Otrzymałem właśnie z pewnej instytucji pieniądze na pracę naukową i mogłem sobie użyć. Według taksy obiad w Łodzi kosztował wówczas pięć złotych. Był to wprawdzie bardzo mały obiadek, ale przeciętny warszawiak zjadał ich trzy, każdy w innej restauracji, i w ten sposób się nasycał. A restauracji prywatnych powstało w Łodzi po wyjściu Niemców mnóstwo. Tanie były także piwo i doskonały razowy chleb na kartki. Słowem, jedz, pij i popuszczaj pasa!

Dni te mogę zaliczyć do najszczęśliwszych w moim życiu. Pokazały mi bowiem, że to co się ludziom wyświadczy dobrego, zostaje wynagrodzone. W Łodzi spotkałem dziesiątki moich podopiecznych, z których każdy chciał mi się czymś zrewanżować, coś dla mnie zrobić. Nie byli to wprawdzie ludzie zamożni, w czasie wojny stracili wszystko podobnie jak ja, ale przyjechali do Łodzi parę miesięcy wcześniej, podczas gdy ja chorowałem w Grudowie, i już się zdążyli jakoś urządzić. Nie brakło mi niczego. Byłem nocowany, goszczony, fetowany. Po okresie tułaczki i choroby nastał okres siedmiu krów tłustych.

Zacne miasto Łódź wróciło mi nie tylko to, co mi zabrało powstanie — wielkomiejskie życie, lecz także i to, co mi odebrała wojna — życie kulturalne. Od października trzydziestego dziewiątego roku nie uczęszczało się do teatru ani kina, nie słuchało się wykładów uniwersyteckich. Pozostawała jedynie książka. Toteż wzruszenie ogarnęło mnie na widok pierwszego afisza Teatru Wojska Polskiego o przedstawieniu „Wesela". Nie mogłem się powstrzymać, aby od razu nie pójść za kulisy.

Jedyny wówczas w Łodzi teatr mieścił się w gmachu przy ulicy Cegielnianej. A że dzień był ciepły, aktorzy odbywający próbę wyszli w czasie przerwy na podwórze. Pierwszym, którego ujrzałem, był Aleksander Zelwerowicz. Siedział na ławce grzejąc się w słońcu. Jeden z największych aktorów i najdziwniejszych ludzi, jacy chodzili po tym świecie. Łączył w swojej bogatej naturze dobro i zło rozświetlone blaskiem wielkiego talentu i niezwykłej inteligencji. O jego sprawach życiowych krążyły legendy — aż do najbardziej sensacyjnych o zboczeniu zwanym piromanią, popychającym go do podpalania teatrów, których był dyrektorem. Jeśli to prawda, los musiał zadrwić z tego wielkiego komika: Teatr Narodowy spalił się we wrześniu od niemieckiej bomby właśnie za jego dyrekcji. Mówiąc nawiasem, na ten sezon zapowiedział wystawienie mojego dramatu. On to bowiem przed kilkunastu laty wprowadził mnie na deski teatru wystawiając w Wilnie moją pierwszą sztukę. Podszedłem do niego i zapytałem o zdrowie.

— Dziękuję, dobrze — odpowiedział stary Zelwer, jednocześnie odpukując „od uroku" palcem w spód ławki.

Czyż mógł się czuć inaczej jeden z największych ludzi teatru w Polsce dziś, kiedy teatr ów zmartwychwstał po sześciu latach nieistnienia! Przez cały ten czas Zelwer wegetował, chwytał się różnych zawodów, był nawet polowym przy pewnym wiejskim dworze. Teraz właściwie wracał do życia. I tak samo wracali do życia inni aktorzy, którzy w czasie wojny utrzymywali się z kelnerstwa czy handlu. Lecz los tych nie był jeszcze najgorszy. Spotkałem jednego z najlepszych aktorów młodego pokolenia, który wrócił z Oświęcimia. Ten człowiek w moim wieku ma już siwe włosy...

Ale oto zaczyna się drugi akt przerwanej proby. Aktorzy śpieszą na scenę. Opuszczam gmach teatru. Dnia tego dane mi było przeżyć jeszcze jedno wzruszenie. Na korytarzu nowo powstałego Uniwersytetu Łódzkiego oglądałem wywieszki z zawiadomieniem o wykładach i seminariach, o godzinach przyjęć profesorów. Przeżywałem radosny moment immatrykulacji.

Łódzkie pałacyki

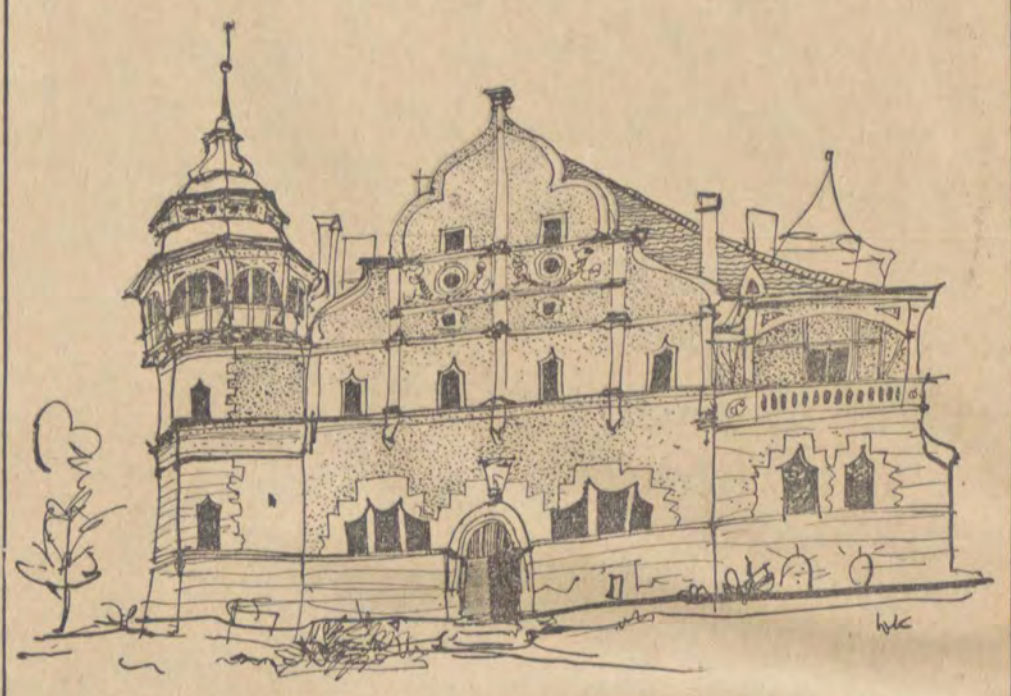

Pałac Richtera-Worcella (Wydz. Budowlany Politechniki Łódzkiej)

Rys. Wacław Kondek

Wszystkie te wzruszenia zbiegły się w czasie kilku krótkich dni mego pierwszego pobytu w Łodzi. Czyż można było nie kochać tego miasta! Na koniec zamieszkałem w Hotelu Artystów na Piotrkowskiej w pobliżu placu Wolności. Od pół roku po raz pierwszy miałem własny pokój, gdzie mogłem pracować i pisać. Nawiązałem kontakty z moimi przedwojennymi kolegami, pisarzami lewicowymi, którzy przyjechawszy wcześniej ode mnie dostali mieszkanie w łódzkich domach literatów. Z tą wiosną rozpoczynałem nowe życie.

W kilka dni po moim przybyciu do Łodzi wyszedłem rano na ulicę. Uderzył mnie odświętny wygląd miasta. Wywieszono biało-czerwone flagi, przeciągały oddziały wojska, orkiestry i pochody. Kiedy pierwszego spotkanego znajomego spytałem o przyczynę, spojrzał na mnie ze zdumieniem:

— Jak to? Nie wiesz? Niemcy skapitulowały po upadku Berlina. Koniec wojny!

A więc i to radosne wzruszenie dało mi przeżyć w swoich murach dobre miasto Łódź!

W dniu tym na Piotrkowską wyległy tłumy. I ja wyruszam na ulicę. Przeszedłszy kilka kroków spotykam kogoś, z kim od razu padamy sobie w ramiona. Cóż za spotkanie! Jeden z moich najbliższych podopiecznych, łódzki adwokat. Widzieliśmy się pół roku temu przed powstaniem. On słyszał już, że ja żyję, lecz co do niego nie miałem żadnych wieści. Idziemy do kawiarni. Siadamy przy stoliku vis a vis, aby się nacieszyć swoim widokiem.

— A więc jednak przeżyliśmy — mówi Stefan. — Możemy sobie pogratulować. To doprawdy zdumiewające. Aż trudno uwierzyć...

Od redakcji: Władysław Smólski, autor wielu powieści i sztuk teatralnych (jedna z nich „Zaczarowana gospoda" grana była w łódzkim Teatrze Nowym), który przez kilka pierwszych lat po wojnie mieszkał w naszym mieście, obchodzi w tym roku jubileusz 40-lecia pracy pisarskiej. Gratulujemy!

WANDA LIPIEC

O Emilu Chaberskim serdeczne wspomnienie

Dlaczego serdeczne?

Ponieważ o zmarłym przed kilku tygodniami reżyserze, rektorze łódzkiej PWST, cenionym pedagogu i dyrektorze wielu teatrów w Polsce — nie można inaczej. Zwykle o zmarłych „aut nihil aut bene". O Emilu Chaberskim jeszcze za życia można było mówić tylko „benissime" — tylko jak najlepiej. Był to bowiem jeden z nielicznych ludzi teatru, który przy wybitnych swych uzdolnieniach, dużej popularności i powodzeniu — nie miał wrogów! Życzliwy dla kolegów, nie uznający intryg i koterii w teatrze, towarzyski, pogodny, pracowity i niezwykle ruchliwy — należał do najsympatyczniejszych ludzi świata aktorskiego. Toteż lubiła go i ceniła młodzież aktorska, skłonna zazwyczaj do drwiny i żartu w stosunku do swych pedagogów. Dowcipy, które o nim krążyły, były zawsze pozbawione złośliwości, a głównym ich tematem były niepospolite siły żywotne wytwornego starszego pana o pięknej, srebrnej, starannej fryzurze i migocących ognikach w wesołych oczach. Pamiętają go dobrze dawne roczniki PWST jako rektora, reżysera, nauczyciela i pedagoga. Miał zwyczaj, że po wielogodzinnej krzątaninie podczas prób siadywał na chwilę na fotelu i mrużył oczy. Najmniejsze „sypnięcie" budziło natychmiastową jego czujność. „Słyszy i widzi nawet, gdy się zdrzemnie" — utyskiwali młodzi adepci kunsztu aktorskiego. O niezwykłej podzielności jego uwagi krążył chyba dowcip najlepszy: „Chaberski może reżyserować jednocześnie w Gdańsku i w Łodzi a przez telefon w Lublinie".

Miał niezwykłą pamięć. Po upływie lat pięćdziesięciu pamiętał nazwiska wszystkich kolegów z okresu swego debiutu w teatrze łódzkim w roku 1908/1909! Potrafił nieomylnie poznać ich twarze z fotografii sprzed pół wieku, pamiętał każdego aktora ówczesnej trupy Zelwerowicza, wszystkie anegdotki związane z ówczesnym teatrem łódzkim. Istna kopalnia wspomnień!

Opowiadał barwnie, żywo, gestykulował, pokazywał, odtwarzał. Życie jego było bogate we wrażenia z podróży i z teatrów całej Europy.

Osobiste wynurzenia zdarzały mu się jednak rzadko, na powierzchnię jego barwnych i ciekawych opowieści wypływały sprawy, ludzie, sztuka. Nawet o celach swej pracy, o jej założeniach mówił niezmiernie mało, jedynie w wypadku, gdy wymagała tego sytuacja. W archiwum łódzkiej PWSTiF pozostał jego życiorys z okresu, gdy ubiegał się o należny mu stopień profesora zwyczajnego. W udzielonym mi przez dziekana Hannę Małkowską jego artystycznym curriculum vitae odczytuję charakterystyczne dla niego wyznania: „Trudno mi jest pisać o sobie samym, jeszcze trudniej dokonać jakiegoś podziału na osiągnięcia, błędy czy braki. Od wczesnej młodości (do dziś zresztą) pozostał mi bardzo krytyczny stosunek do własnych wystąpień w dziedzinie sztuki teatru (...)

Taki jest początek jego oficjalnego życiorysu! Nie można więc mówić o nim w tonie okolicznościowym i oficjalnym, zwłaszcza tu, w Łodzi, z którą wiązał się jego debiut i końcowe lata pracy. Zamyślał podobno, właśnie tu, a nie w Warszawie obchodzić swój jubileusz — pięćdziesięciolecie działalności teatralnej.

Emil Chaberski zjawił się w Łodzi w sezonie 1908/1909 w teatrze „Victoria" z trupą Aleksandra Zelwerowicza. Miał wówczas niecałe 18 lat. Urodził się w roku 1891. Pierwszą jego wybitniejszą rólką był prolog Morsztyna do Cyda. Występował w roli „Wisły". Zelwerowicz zaczął go coraz częściej obsadzać w epizodach i poważniejszych rolach. Chaberski najchętniej wspominał swą rolę w „Nawróconej Ewie", napisanej przez pewną łodziankę, kryjącą się pod pseudonimem — Rozgórska. Z dużym powodzeniem grał małego uczniaka, braciszka nawróconej Ewy, zbuntowanej panny na wydaniu ze sfer przemysłowo-handlowych.

Przejawiał już wtedy jakieś zamiłowania i dyspozycje reżyserskie, gdyż w ostatnich miesiącach pobytu Zelwerowicza w Łodzi, tj. jesienią 1911 r., współpracował z nim jako reżyser. Prowadził zresztą wówczas, podobnie jak uprzednio w Krakowie, amatorski teatrzyk robotniczy, oczywiście zakonspirowany, gdyż inaczej być nie mogło na terenie byłego Królestwa. Swój entuzjazm społeczny odpokutował wówczas aresztem i więzieniem. Jego zamiłowania reżyserskie ujawniły się dość wcześnie, jeszcze w Krakowie; gdy jako młodziutki uczeń M. Przybyłowicza wystawił w roku 1908 „Tkaczy" Hauptmana. Był wówczas związany z ruchem socjalistycznym, i z inicjatywy PPS, przy konsultacji krytyka teatralnego z „Naprzodu", organu partii — wystawiał tę sztukę w kółkach robotniczo-inteligenckich, związanych z organizacją, w „Tkaczach" występowała Daszyńska-Golińska w roli matki.

Gdy jako jeniec wojenny, „austriacki poddany", znalazł się w Rosji, rozpoczęła się właściwa dla niego droga twórcza. Prawdziwą szkołą reżyserii stały się dla Chaberskiego teatry Stanisławskiego, Tairowa i Meyerholda.

Jak pojmował istotne zadanie reżysera? Określał je jako „wydobycie właściwego sensu i charakteru widowiska z trafnie odczytanej idei autorskiej oraz jako kompozycję ekspresji teatralnej, opartej na skoordynowanym współdziałaniu wszystkich funkcji teatralnego aparatu". W jaki sposób doszedł do tego wniosku? Oczywiście poprzez długie studia, doświadczenia i podróże. Zaznajomiwszy się z naturalizmem i realizmem szkoły rosyjskiej wyjeżdżał jako reżyser teatrów warszawskich, mając już zapewnioną egzystencję, do teatrów Francji, Anglii, Włoch i Hiszpanii. Interesowała go praca nad tekstami poetów narodowych i granice autonomii reżysera w opracowywaniu teatralnego kształtu dla tekstu literackiego. Wśród opracowań reżyserskich najbardziej kusił go Wyspiański. Niewątpliwym jego sukcesem z tego zakresu było wystawienie „Legionu" i „Lelewela" w Teatrze Narodowym w Warszawie w latach dwudziestych. Jego temperament, ogromne poczucie humoru i stylu skłoniło go do studiów reżyserskich nad Fredrą. I w tej dziedzinie osiągnął duży sukces, wystawiając w Teatrze Narodowym w 1928 r. „Pana Jowialskiego" z Ćwiklińską w roli Szambelanowej. Pociągała go przede wszystkim klasyka: Molier, Schiller, Szekspir, ale w latach dwudziestych należało podtrzymywać egzystencję teatrów przy pomocy lekkiej komedii i fars. Czynił to w Teatrze Letnim z dużym znawstwem stylu, rytmu, tempa. Znalazł znakomitego współpracownika i aktora w osobie Fertnera. Nie sposób scharakteryzować tu Chaberskiego jako reżysera w okresie dwudziestolecia, niektóre jego inscenizacje jak np. „Don Juan" Zorilli z Józefem Węgrzynem cieszyły się dużym rozgłosem i olbrzymią frekwencją.

Miał niezwykły dar przystosowywania się do potrzeb czasu i epoki. Do ciekawszych jego inscenizacji bezpośrednio po wojnie należy zaliczyć sztukę Simonowa „Rosjanie" (Ruskije Ludi, Kraków 1946—1947). W sztuce tej występował Jerzy Leszczyński, Wanda Siemaszkowa i Solski.

Następne etapy jego pracy powojennej to przede wszystkim Poznań, gdzie zorganizował Studium Dramatyczne, i Szczecin. W łódzkim teatrze im. St. Jaracza wystawił w ciągu 2 lat czternaście sztuk, z których pięć sam wyreżyserował. Były to: „Mąż i żona" Fredry, „Pan Jowialski", „Don Carlos" Schillera i w roku 1957/1958 „Kobieta mojej młodości" Devala i „Ucieczka do Havru" Hochwäldera. W ówczesnej Operze Łódzkiej wyreżyserował w nowej, własnej i nader udanej inscenizacji „Traviatę" Verdiego i „Madame Butterfly".

Na ogół wszystkie te inscenizacje zyskały sobie duże zainteresowanie publiczności i niezwykłą życzliwość krytyków i recenzentów. Pamiętamy dobrze salwy śmiechu na Panu Jowialskim.

Spektakl ten okraszony był ponadto wdziękiem niezwykłym. Była nią znakomita para państwa Szambelanów — Walter, a przede wszystkim zaproszona na gościnne występy przez Chaberskiego Mieczysława Ćwiklińska, najlepsza Szambelanowa Fredry i najbardziej urocza Szambelanowa polskiej sceny.

Do wybitniejszych inscenizacji Chaberskiego w Łodzi należy zaliczyć również „Don Carlosa" Schillera. Ten trudny utwór został przeniesiony na scenę Teatru Jaracza niemal bezbłędnie, budził zainteresowanie, nie nużył mimo długości trwania spektaklu.

W ciągu swego kilkuletniego pobytu w Łodzi pracował Emil Chaberski, jak zresztą wszędzie, z dużym zapałem i pożytkiem dla teatru i wielkim oddaniem dla młodzieży. Dużą część młodego narybku aktorskiego zabrał ze sobą do Warszawy w roku 1958 gdy opuszczał Teatr im. Jaracza.

W szkole łódzkiej pozostawił po sobie trwałą pamięć i serdeczne wspomnienie.

ROMAN ŁOBODA

„Noc spowiedzi"

Spowiedź oczyszcza. Myślę o tym, co nazywamy zrzuceniem ciężaru z serca. Niekiedy potrzeba jest tak silna, że niezaspokojona powoduje obsesje.

Przyjaźń, ta prawdziwa, pozwala na tak zwane zwierzenia przed zaufaną, i w naszym odczuciu, rozumną osobą, i jakkolwiek nie tylko one (zwierzenia) wypełniają obszar przyjaźni, jednakże stanowią bodaj najistotniejszy jej składnik. Ale istnieją jeszcze inne sposoby „oczyszczania się". Chętnych do spowiedzi można spotkać w pociągu, samolocie, w schronisku, wszędzie tam, gdzie udaje się przed przygodnym słuchaczem zachować incognito.

Jednakże te i inne, mniej i więcej prymitywne sposoby pozbywania się zalegających tajemnic-ciężarów nie dają ani pełnego, ani trwałego oczyszczenia. Tylko silny i głęboki wstrząs może poruszyć najciemniejsze zakamarki psychiki ludzkiej, może wyzwolić wszystko ukryte. W sytuacjach ostatecznych człowiek staje bezwstydnie nagi; koślawy czy piękny, brudny czy czysty — odarty z pozorów.

Można więc przyjąć za Sartrem, że prawda ludzkich postaw odsłania się i sprawdza w spięciach, od których zależy życie lub los człowieka.

Arbuzow posługując się w „Nocy spowiedzi" sartrowską konwencją dramaturgiczną nie rezygnuje z własnych doświadczeń. Doprowadza swoich bohaterów do „obnażenia się", ale wyciąga z tej relacji nieco odmienne wnioski. W swoim trudnym optymizmie daje każdemu szansę i jest w tym bliski arystotelesowskiemu rozumieniu katharsis.

Arbuzow poddaje swoich bohaterów niejako podwójnej analizie. Bada ich reakcje ujawniające się w atmosferze wspólnego oczekiwania na śmierć i wysyła kolejno do „spowiednika", którym jest Ewald Giessling — major, komendant okupowanego przez Niemców miasta.

Wojska niemieckie za parę godzin mają opuścić miasto. Major zdaje sobie sprawę z bezsensowności przesłuchiwania pojmanych Rosjan w sytuacji, gdy armia niemiecka pośpiesznie się wycofuje. Ale komendant jest hobbystą seansów ekshibicjonistycznych z zapoznanym aktorem, który teraz ma okazję grać coraz to inną rolę przed każdym z przesłuchiwanych.

Klimat sztuki rzeczywiście przypomina „Uwięzionych z Altony". W ciemnej, ponurej — bardzo pod nastrój zrobionej — scenerii odbywa się spowiedź powszechna i sąd ostateczny — z tym, że w przeciwieństwie do Sartre'a, Arbuzow tylko nielicznych strąca do piekieł.

Komendant miasta, Niemiec Ewald Giessling jest koneserem i smakoszem takich obrzędów.

Jerzy Przybylski żadnym gestem, tonacją czy nawet barwą głosu nie wychodzi poza lśniący w mroku krąg tych „eleganckich" celebracji. Nie ma jednej fałszywej nuty w jego grze. Chwilami „spowiednik" zdradza zmęczenie lub zniechęcenie. Koniak i pasja kreacionisty pozwalają mu jednak dotrwać do końca. Te przejścia od ożywienia do zmęczenia i odwrotnie też były przedniej marki. Trzeba przyznać, że jest to znakomicie zrobiona rola.

Adiutant Ewalda Giesslinga, to mniej „subtelna" natura. Porucznik Henryk von Gahlen, jak wielu oficerów niemieckich w tym czasie zbliżającej się nieuchronnie klęski III Rzeszy, jest pełen wątpliwości, ale nie traci „fasonu". Chce wypełniać swoje zadania sumiennie do końca a „gry i zabawy" komendanta wydają mu się śmieszną ekstrawagancją, która tylko opóźnia rozstrzelanie pojmanych cywilów i opuszczenie miasta.

Leon Niemczyk gra adiutanta z właściwą sobie ekspresją i wyrazistością, a gdzie trzeba z elegancją. Chyba tak wyglądali ci wykształceni, wrażliwi na muzykę i kochający zwierzęta, niekiedy wątpiący, ale zdyscyplinowani oficerowie führera.

W ogniu prób, którym poddaje Arbuzow osoby dramatu, ujawniają się konflikty ich życia osobistego. Arbuzow doprowadzając te konflikty do tragicznego czy szczęśliwego rozwiązania jest konsekwentny w swojej pasji psychologizowania i niezłomny w swojej wierze w człowieka.

Zarówno Borys Ilicz Glebow — chirurg, naczelny lekarz szpitala miejskiego, jak i jego żona Julia Pietrowa, lekarz pediatra, wytrzymują z godnością groźbę zbliżającej się śmierci. Z godnością również rozgrywają finał tragicznego pożycia małżeńskiego. Szlachetność, odwaga i ideowość Glebowa w najstraszniejszej i najsmutniejszej chwili, jaką może przeżyć człowiek lśni jeszcze większym blaskiem.

Bohdan Sobiesiak uniósł ciężar tej trudnej roli.

Irena Malkiewicz (Glebowa) prostymi środkami umiała wyrazić złożone reakcje kobiety targanej sprzecznymi uczuciami. Jej miłość do młodego i lekkomyślnego klarnecisty Łastoczkina którego **Janusz Kubicki** gra z temperamentem, ale w niezbyt przemyślany sposób, jej miłość, jak we wszystkich sztukach Arbuzowa, była tragiczna, ale nie tchórzliwa czy przewrotna.

Płochy klarnecista, to klasyczny przykład katharsis. On w ostatecznej próbie zdobywa się na gest bohaterstwa — doznaje prawdziwego oczyszczenia.

Konflikt między ojcem a synem „Noc spowiedzi" rozstrzyga szczęśliwie. Wszystko, co ważne zostało powiedziane do końca; syn zrozumiał postępowanie ojca. **Zbigniew Niewczas** (Andrzej Bogdanowicz Kowerga — lekarz internista) i **Bogdan Wiśniewski** (Edek Kowerga — syn) — na poziomie. Z policjantów: **(Jerzy Szpunar** i **Antoni Żukowski)** — jeden pozostaje szują do końca, a drugi okazuje się przyzwoitym człowiekiem. Dobre momenty ma **Mirosław Szonert** jako August Scholz — dezerter.

Reszta artystów: **Janina Borońska-Łagwa, Janusz Mazanek, Czesław Przybyła Jan Prosnak, Andrzej Jędrzejewski i Lucjan Wiernek** dostroili się do całości, która opracowali: reżyseria — **Ryszard Sobolewski**, scenografia — **Marian Stańczak**; przekład **Halina Zakrzewska i Roman Szydłowski.**

Aleksiej Arbuzow: „Noc spowiedzi". Teatr Powszechny w Łodzi. Prapremiera.

L. Niemczyk i J. Przybylski.

Spektakle tygodnia

Teatr	spektakle	widzów	%
WIELKI			
— „Dama Pikowa"	1	1276	100
— „Pan Twardowski"	2	2552	100
— „Halka"	1	1276	100
— „Carmen"	1	1276	100
NOWY			
— „Damy i huzary"	7	4000	95
— „Śluby panieńskie"	2	1400	100
— „Blacharz burmistrzem"	1	650	95
NOWY MAŁA SALA			
— „Skiz"	2	400	100
— „Kartoteka"	2	400	100
POWSZECHNY			
— „Mocne uderzenie"	1	590	92
— „Tango"	1	660	100
— „Noc spowiedzi"	3	1950	97
JAPACZA			
— „Przełom"	2	1266	100
— „Ogniem i mieczem"	3	1899	100
7,15			
— „Zielony gil"	8	1266	100
OPERETKA			
— „Niedziela w Rzymie"	8	7613	85
TZŁ			
— „Los człowieka"	6	2968	100
— „Hedda Gabler"	8	2402	100

Tele-obiektyw

„Poletko nad jeziorem„ i Poletko Tele-obiektywu

Ustały już na szczęście akademickie i jałowe spory na temat czy telewizja jest sztuką. Telewizja to przede wszystkim tory kamerowe, konsolety mikserskie, magnetofony, lampy ortikonowe charakteryzujące się pamięcią i aparatura nadawcza, która obraz utrwalony w tej pamięci zamienia w impulsy elektryczne i emituje na falach eteru na odległość setek kilometrów.

To jest telewizja. Tysiące lamp i przewodów służących jako środek przekazu. Natomiast przesyłane tą drogą do odbiorców widowiska mogą mieć (choć nie muszą) znamiona sztuki.

Najbardziej w kierunku sztuki grawituje chyba Teatr TV. Ale znowu rozpatrywać należy poszczególne widowiska, gdyż ten najbardziej masowy teatr nie jest monolitem. Tworzy go wielu ludzi o różnym osobistym credo artystycznym, względnie o braku takowego.

Część reżyserów pojawia się w telewizji na zasadzie swoistej mody czy snobizmu. Noblesse oblige. Wypada się pokazać na ekranie. Ludzie ci nie mają w zasadzie żadnego stosunku do potencjalnych możliwości tkwiących w aparaturze telewizyjnej. Przynoszą ze sobą bagaż doświadczeń teatralnych, teatralne nawyki i teatralny styl pracy z aktorem. Od ludzi telewizji oczekują, by ich czysto teatralny spektakl jakoś „sfotografowali".

Czy festem przeciwny tym wszystkim „Ślubom panieńskim", „Damom i huzarom", czy „Panom Damazym", spektaklom przeflancowanym mechanicznie z teatru do telewizji? Dalibóg, nie! Program telewizyjny to worek bez dna. Jest w nim miejsce i na takie produkcje. Tym bardziej że znajdą one zawsze wdzięcznych odbiorców.

Ale satysfakcję przynoszą dopiero świadome próby wzbogacenia Teatru TV o te środki techniczne, które telewizja proponuje twórcom. Nie chodzi mi przy tym o fascynowanie się reżyserów technicznymi sztuczkami. To należy już do minionego dziecięcego okresu telewizji. Ambitny reżyser telewizyjny próbuje w sposób przemyślany rozszerzać skalę środków technicznych, szukając jak gdyby potwierdzenia, że trafił do Teatru TV nie na zasadzie przypadku, lecz w drodze wyboru tego właśnie a nie innego środka przekazu.

Z tych przede wszystkim względów pragnę wyróżnić widowisko „Poletko nad jeziorem" wystawione według scenariusza Józefa Lenarta przez reżysera Zbigniewa Kuźmińskiego. Kuźmiński podszedł do swego zadania właśnie od strony doboru środków telewizyjnych najwłaściwszych dla przekazania fabularnego reportażu Lenarta.

O, zdać sobie sprawę z tego, że chodzi właśnie o reportaż, to była rzecz brzemienna w skutki! Fakt ten podyktował dokumentarną niemal metodę w pracy kamer. Narzucił potrzebę dokrętek filmowych, które pozwoliły wtopić losy bohaterów w konkretne tło, nadać im szerszego epickiego wymiaru.

Reżyser uświadomił sobie także i to, że scenariusz Lenarta nieprzypadkowo nosi tytuł korespondujący z popularną powieścią Erskine Caldwella „Poletko Pana Boga". I tu i tam chodzi o rzecz elementarną: o ziemię. I tu i tam wokół ziemi, jako źródła bogactwa rozpalają się ludzkie namiętności w najbardziej pierwotnym gatunku. I tu i tam zabójstwo jest już tylko niewiele znaczącym dodatkiem, dopełnieniem atmosfery, w której zbrodnia trwa jak niewidzialna zawiesina od samego początku.

Dla oddania tego klimatu Kuźmiński wraz z realizatorką TV Edwarda Paszkowska rozegrali akcję przy pomocy długich obiektywów, czyli na dużych zbliżeniach. Konwencja ta zagęściła narrację, nadała jej cechy agresywnego wdzierania się w obolałe sprawy ludzkie.

Czy spektakl „Poletka nad jeziorem" osiągnął rangę dzieła sztuki? Nie wiem. Ale wiem, że to była TELEWIZJA.

* * *

W tytule zasygnalizowałem jeszcze jedno poletko, Poletko Tele-obiektywu. Uważam, że Tele-obiektyw też ma prawo do własnego poletka dla wyładowania swoich małych namiętności.

Każdy telewidz przeżywa przy telewizorze obok chwil miłych momenty irytacji. Czasem z powodu błahych nawet, ale dotkliwych, jak mały kamyk w bucie, usterek. Na irytację istnieje skuteczna metoda terapii: wygadanie się. To działa jak puszczenie złej krwi.

Od dziś zatem wprowadzam stały aneks do Tele-obiektywu, rubryczkę, w której gromadzić będę drobne zażalenia pod adresem telewizji. Do współpracy z Poletkiem zapraszam moich P.T. Czytelników.

Władysław Orłowski

POLETKO TELE— OBIEKTYWU — **Nr 1**

KUSZELAS. Wielokrotnie zwracano uwagę na to, że aktorzy traktują występ w „Kobrze" jako chałturę. Święta prawda!

Jeden z recenzentów pisał w związku z nadanym 23. XI. „Szafirowym Buddą": „Rola pana Karola była wprost wymarzona dla E. Dziewońskiego", (koniec cytatu). Wymarzona? Rola pana Karola? Nieporozumienie. Informujemy: To nie był pan Karol. To był Kuszelas.

* * *

GIEŁDA PIOSENKI. W dniu 28. XI. przekazywano ją z Krakowa. Starano się, żeby było za wszelką cenę inaczej. Dlatego w trakcie jednej z piosenek dokonano w obłędnym tempie kilku najazdów na pojedyncze twarze słuchaczy przy pomocy tzw. tranfokatora. Dla oka widza, które źle znosi konieczność tak szybkiej akomodacji, było to przykre. A w imię czego cierpieliśmy? W imię złej maniery realizatorskiej, która przeszkadzała słuchać piosenki.

* * *

„ZAWIĄŻ BUTA!". Sprawozdawca z emocjonującego meczu Dynamo — Górnik (29. XI.) powiedział w pewnej chwili: „Szołtysik zawiązuje buta". Ja nie zwalam na taką polszczyznę memu sześcioletniemu synowi. I to w gronie rodzinnym. A ile osób słuchało p. Ciszewskiego? W.O.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

DRUGA POWIEŚĆ Edwarda Kopczyńskiego

W sensie chronologicznym nowa — druga z kolei — powieść Edwarda Kopczyńskiego — **„Drogi łączyły się w lesie"** *) jest kontynuacją „Trudnych edukacji", a co się tyczy postaci głównych bohaterów — mimo różnic w szczegółach ich biografii — Paweł Rokicki z „Dróg" zdaje się być bardzo bliskim krewnym, albo i nowym wcieleniem sympatycznego Michasia Jabłońskiego z debiutanckiej książki Kopczyńskiego.

Akcja „Dróg" rozgrywa się w okupacyjnych latach 1942—1944 głównie w Łodzi, a później w Piotrkowie i w partyzanckim lesie. Uważnego czytelnika już na wstępie lektury uderzyć musi zbyt łagodnymi i pogodnymi barwami malowany obraz okupowanej Łodzi. Bo wedle powieści Kopczyńskiego wszyscy wokół spokojnie pracują w niemieckich fabrykach i przedsiębiorstwach, zarabiając na życie, a dla powiększenia dochodów można sobie tym i owym zahandlować. Poniewaz za pieniądze wszystkiego dostanie, więc z aprowizacją nie ma szczególnych kłopotów. Ponadto tę „aprowizację" kto żyw podlewa od rana do wieczora strumieniami bimbru. Na stosunki w fabryce marmolady, gdzie pracuje Paweł, nie można się skarżyć. Dwaj jego najbliżsi towarzysze pracy to rozpijaczeni, ale skądinąd przyzwoici i koleżeńscy **volksdeutsche**, a nawet jeden z dwóch kierowników fabryczki, b. oficer Wehrmachtu, jest człowiekiem życzliwym i wyrozumiałym. Zaś polska młodzież (w tym i nasz Paweł) urządza sobie w soboty całonocne „potańcówki" o jednoznacznym finale...

Owszem czasem w tekście powieści przemknie jakieś słówko, jakaś aluzja o getcie, aresztach, deportacjach, ale są to detale nie wpływające w poważniejszym stopniu na przyciemnienie ogólnego kolorytu relacji. Gdyby ktoś wiedzę o okupacji hitlerowskiej w Łodzi zaczerpnął jedynie z książki Kopczyńskiego, mógłby dojść do zgoła opacznych wniosków.

Ale jest w tej powieści postać naprawdę tragiczna, dobrze i mocno wyeksponowana, to ojciec Pawła, oficer rezerwy, i urzędnik magistratu, który po rocznym pobycie na Radogoszczu wraca do domu zupełnie złamany psychicznie, zakazony wszechwładnym i obłędnym uczuciem — strachu. Więc gdy po jakiejś awanturze wypędza Pawła z domu, czyni to nie dlatego, że chłopak pije, włóczy się po nocach i nie przebiera w „rozrywkach", lecz dlatego, że podejrzewa Pawła o „zabawę w politykę", co może ściągnąć znowu konsekwencje na całą rodzinę, a więc i na ojca.

Wkrótce potem Paweł — w przypadkowym zajściu — uderzył jednego ze swych niemieckich szefów i był zmuszony uciekać z Łodzi. Oparł się w Piotrkowie, zaczął pracować w warsztacie bednarskim, a gdy i tu policja zaczęła mu deptać po piętach, przy pomocy życzliwych ludzi poszedł do AL-owskiej partyzantki. Poszedł **chcąc nie chcąc**, bo nie miał innego wyboru. A gdyby nie przymus, ten dwudziestoletni, zdrowy i silny chłopak produkowałby do końca wojny beczki w warsztacie pana Kopydłowskiego. A gdyby tak wszyscy jego rówieśnicy, bądź ich większość, hołdowali podobnej bierności?... Notabene Paweł to nie żaden „ciemniak", lecz prawie maturzysta, chłopiec inteligenty, nie pozbawiony przecież politycznego rozeznania sytuacji.

Ostatni rozdział „Dróg" zawiera raczej reporterskie sprawozdanie z pierwszego historycznego posiedzenia konspiracyjnej Wojewódzkiej Rady Narodowej w Ojrzeniu w lipcu 1944 r.

Sądzę że do mocniejszych stron tych dość nierównych „Dróg" zaliczyć można bezpośredniość i komunikatywność narracji, unikanie tzw. opisywactwa oraz bystrość spojrzenia autorskiego, manifestowana zresztą w stopniu nie zawsze jednakowym. Zaś poważnym mankamentem „Dróg" jest bez wątpienia zbyt „swobodny" stosunek do surowych realiów okupacyjnego bytu, o czym już wyżej wspomniałem. Ten brak podważa dokumentalną wartość książki Kopczyńskiego, lokując ją na poziomie wielu innych, mniej lub więcej zajmująco napisanych, powieści o tematyce okupacyjnej.

---

*) (Łódź) „Wydawnictwo Łódzkie", str. 148 i 4 nlb. Cena zł 10.—

MARIA KORNATOWSKA

O piosence i grafomanii

W kraju naszym, żyznym, pięknym i niemałym nastała ostatnimi czasy moda na piosenkowanie. Piosenkują wszyscy: malcy, ludzie w sile wieku i bezzębni staruszkowie. Niestety, ilość nie przechodzi w tym przypadku w jakość, a rezultaty nie idą w parze z dobrymi chęciami i powszechnym zapałem. Bóg nam odmówił talentów wokalnych, czym się zresztą wcale nie zrażamy. Mnożą się tedy rozmaite festiwale piosenek i piosenkarzy. Wśród nich istnieje także i festiwal piosenkarzy studenckich, który w dniach 24—26 listopada odbył się właśnie w Krakowie, po raz szósty z rzędu.

Jak przystało na szanującą się imprezę, festiwal ma już swoją tradycję. Wśród jego laureatów widnieją nazwiska Ewy Demarczyk, Grześkowiaka, Sipińskiej, Popiel i innych. W tym roku nadano mu szczególnie imponujący charakter rozbudowując nieco nadmiernie jury (12 członków pod przewodnictwem Kazimierza Rudzkiego na 23 piosenkarzy) i organizując telewizyjną transmisję finału konkursu. I słusznie. Co jak co, moim zdaniem, ale właśnie studencki konkurs winien zasługiwać na specjalną uwagę.

Twórczość studencka wnosi bowiem, i dowodzi tego historia ostatniego dziesięciolecia, ożywczy ferment w naszą kulturę, dostarczając nowych talentów i nowych myśli, tworząc nowe nieskostniałe jeszcze formy. W sytuacji, gdy na rynku kulturalnym dominuje u nas, niestety, wszechwładna chałtura, od ruchu studenckiego oczekujemy świeżości, autentyczności postaw artystycznych i ideowych ambicji. Przecież ruch studencki dał nam w ciągu ostatnich lat wiele interesujących indywidualności. Na niwie piosenki, chociażby Osiecką — (teksty) i Młynarskiego, Ewę Demarczyk i Święcickiego. Odegrali oni istotną rolę w odnowieniu naszych gustów w tej dziedzinie.

Ostatni krakowski konkurs piosenkarzy studenckich stanowi znakomitą okazję dla zastanowienia się nad kilkoma sprawami. Poziom jego, nie był, jak powszechnie mówiono, najlepszy. Ale, jak wiadomo, opolski festiwal też stoi na nie najwyższym poziomie. Jest to już problem natury generalnej, osobiście wydaje mi się — wspomniałam o tym na wstępie — że szał śpiewania przerasta nasze obiektywne możliwości w tej mierze. Nic to — jak zwykł mawiać pan Wołodyjowski — znany bohater filmowy. Szały są zawsze potrzebne, i nie da się ich uniknąć.

Jedną z przyczyn nie najlepszego poziomu — podkreślano to wielokrotnie w trakcie trwania konkursu i po jego zakończeniu — był brak starannego doń przygotowania ze strony poszczególnych środowisk studenckich. Szczęśliwy wyjątek stanowił, oczywiście, Kraków, reprezentowany przez sześciu piosenkarzy, z których do finału weszło pięciu, a laury, całkiem zresztą zasłużone, zdobyło trzech. **Udział środowiska łódzkiego był mniej niż mizerny i trudno się pocieszać faktem, że jeszcze gorzej wypadł Olsztyn albo Gdańsk.** Mamy przecież piękne tradycje teatrzyków i kabaretów studenckich ze sławnym „Pstrągiem" na czele. Mamy tekściarzy i muzyków — ongiś tuzów studenckiej piosenki. Pamiętam dobrze śliczną piosenkę „Moja bezsenność", śpiewaną, hej, łza się w oku kręci, przez samą Ewę Nagurską. A dziś... Wybór łódzkich reprezentantów wydaje się być absolutnie przypadkowy, a dobór repertuaru raczej żenujący. Do spraw łódzkiego środowiska studenckiego wrócimy jeszcze przy okazji, a na razie wróćmy do Krakowa.

Laureaci poprzednich konkursów; Sipińska, Popiel, Grześkowiak, wkroczyli już zdecydowanie na oficjalne estrady. Świadczy to pochlebnie o poziomie konkursów krakowskich, ale ma także, moim zdaniem, swoje ujemne skutki. Konkurs stał się bowiem swoistą giełdą piosenkarzy, którzy ponadto wzięli sobie do serca manierę śpiewania „dorosłych" sław. Miast proponować własny, odrębny styl piosenkowania naśladuje się, i to w sposób często nieudolny, uznane już gwiazdy. Półbiedy, jeśli to będzie Demarczyk, Święcicki albo Młynarski. Gorzej, jeśli Violetta Villas, której osobiście życzę jak najwiekszych i długotrwałych sukcesów w Las Vegas. Określenie: piosenkarz studencki, staje się tedy całkiem przypadkowe, oznacza po prostu osobę śpiewającą, która chwilowo pełni funkcję studenta. A gdzie przekora i bunt przeciw utartym szablonom, właściwe młodości? Gdzie własny styl, studencki „fason"? Tego mi właśnie w krakowskim konkursie brakowało. Niedosyt ów kompensowały częściowo wieczorne spotkania w Klubie „Pod Jaszczurami", gdzie nieoficjalnie, w ramach tzw. imprez towarzyszących prezentowano repertuar i styl interpretacji, który by można nazwać rzeczywiście studenckim, i który sądząc po żywej reakcji, znacznie bardziej przypada do serca studenckiej publiczności niż ckliwe śpiewo-gry, wykonywane z dużym samozaparciem w trakcie konkursowych zmagań.

Najbardziej „studenccy" byli właśnie przedstawiciele Krakowa — Marek Grechuta, zdobywca drugiej nagrody, piosenkarz pełen urzekającego wdzięku, bardzo kameralny i bezbłędnie „łapiący" kontakt z publicznością. Z dużą intuicją potrafił on dobrać sobie repertuar odpowiadający jego warunkom i możliwościom głosowym. Śpiewane przezeń „Tango Anawa", całkiem zasłużenie zdobyło nagrodę dziennikarzy ufundowaną dla najlepszej studenckiej piosenki roku. A i druga piosenka „Serce" ma w sobie urokliwość tuwimowskiej liryki. Nie przypadkowo zatem śpiewał też Grechuta „Pomarańcze i mandarynki" Tuwima. To konsekwentne poszukiwanie własnego repertuaru i stylu interpretacji zasługuje na szczególną uwagę. Andrzej Kierc, zdobywca IV nagrody ze swoją nutką subtelnej autoironii, i Mariusz Lipiński, zdobywca V nagrody ze swoim sposobem interpretacji utrzymanym w stylu staro-francuskiej ballady — mieszczą się także w poetyce studenckiego piosenkowania. Bliżsi są tradycji kabaretu i „Piwnicy" niż estrady.

Niestety, w całości konkursu dominował ton obliczony na gusty ewentualnych menażerów, panów na Pagarcie i Opolu, ton znany nam niestety, aż nazbyt dobrze z radia i telewizji.

Osobną kwestię stanowi problem repertuaru. Wprawdzie krakowski konkurs nastawiony jest na wykonawców a nie na piosenki, ale dobór piosenek, jak pięknie powiedział Kazimierz Rudzki — świadczy o smaku wykonawcy. Smak zaś należy do nieodzownych ingrediencji, tzw. duszy artysty. Otóż poza nieśmiertelną Agnieszką Osiecką, Rimbaudem, Burnsem, Tuwimem i Gałczyńskim, teksty piosenek były na ogół pod psem i to psem marki kundel. Piosenka stała się już od dawna w naszym kraju ulubionym terenem występów niewyżytych grafomanów. Pisał kiedyś o tym Grochowiak, narażając się wielce panu Kydryńskiemu (Lucjanowi — dla ścisłości). Ale od studenckiej piosenki mamy prawo oczekiwać czegoś więcej, a przynajmniej wdzięku, lekkości i przestrzegania prawideł gramatyki tudzież wspomnianego już dobrego smaku.

Naukowo rzecz biorąc wyróżnić można dwa zasadnicze nurty tej radosnej (żeby!) twórczości. Pierwszy polega na karykaturalnym iście małpowaniu stylu Osieckiej i Młynarskiego oraz obfitym cytowaniu in extenso rozmaitych żargonowych „porzekadeł". Drugi zaś nurt nawiązuje do jakże wzruszającej tradycji przedwojennych tang w rodzaju „Już nigdy". aczkolwiek bez ich tchnącego patyną wdzięku. Nie mogę zrozumieć jakim cudem, ludzie tak jeszcze młodzi, zdołali doznać w swym życiu tylu niepowodzeń i zawodów miłosnych. Idąc śladem niektórych znakomitych autorów od znanych szlagierów, sfrustowana młódź opiewa swoje cierpienia wymieniając z tęsknym upojeniem i trochę bez składu rozmaite części ciała, głównie oczy, usta, włosy i dłonie, których „już nigdy". Najczęściej powtarza się rzeczownik noc, któremu najczęściej towarzyszy przymiotnik mroczna. Ta ponura fala rozdzierającej, płaczliwej „liryki" była po prostu nie do strawienia. A o ile można jeszcze zrozumieć lamenty leciwych dam i panów, o tyle tego typu maniera na gruncie twórczości studenckiej jest nie do przyjęcia. (pomijając wszelkie niegramatyczności!) Jedynym świeżym akcentem była tu tkwiąca w dobrej, tuwimowskiej tradycji, wspomniana przeze mnie piosenką „Serce" (słowa: Wiśniewska i Nowicki) oraz „Tango Anawa" (słowa Czuryło i Grechuta). Reszta była przygnębiająca. Bez inwencji, dowcipu, przekory, młodości. Bez ambicji artystycznych, bez cienia poszukiwań treściowych i formalnych.

Ku przestrodze przyszłym uczestnikom konkursu i P.T. grafomanom, a ku uciesze naszych czytelników publikujemy budującą antologię wybranych „perełek" ze śpiewanych w Krakowie piosenek.

Słowa: A. GRZYBOWSKI

Amant

Tyle lat już minęło od owych letnich dni
Gdy w życiorys mój zgrabnie zamontowałeś się ty.
Byłeś taki szykowny, modny krawat i gang
czarne kudły i wzrostu metr osiemdziesiąt dwa.

Tak ładnie sadziłeś o szczęściu farmazony,
że jestem Ci potrzebna, boś niby opuszczony.

A ja głupia wierzyłam
i łzy gorzkie roniłam
i współczułam serdecznie
i nieba Ci chyliłam
bo byłeś taki nieszczęśliwy
ty amancie dla plebsu, ty picerze złośliwy.

Kiedyś sobie poszedłeś, nawet głośno nie kląłeś
Walizkę spakowałeś i klucza już nie wziąłeś
choć męczyłam się bardzo, nie mogłam spać i jeść
pies Cię drapał cwaniaku, z nami koniec. No cześć!

Przyłaziłeś czasami obszarpany i brudny
narzekałeś na życie, na charakter swój trudny.

Słowa: ALICJA KOZŁOWSKA

Tango drawskie

A gdy skończył ósme piwo
spojrzał na mnie troszkę krzywo
wyjął chustkę, wytarł nos
i zaśmiał się w głos:
Przysuń się, niech ci tam będzie Dziuba, przysuń się.
No, ostatecznie mnie jest wszystko jedno,
dno ci powtarzam dno, a w życiu nie ma co.

Orkiestra grała Kormorany
a on za drzwiami nęcił mnie
rzuć mówił w kąt te polne łany
pojedziem razem itd.
I szeptał: ukończ me udręki
i oszołomił mnie raz dwa.
Mówiłam: Kaziek, weź tę rękę
a on, że nie, że skatuje jak psa!

Przysuń się, proszę cię Kaziek darling, przysuń się,
trzy piwa temu przecież chciałeś mnie, nadpożądałeś,
słuchaj jak mi serce jęczy, porzuciłeś na poręczy
dusza drży mi niczem ptak,
czy godzi się aż tak?
Przysuń się, no proszę połóż rączkę tam, gdzie chcesz
trzy tatuaże śliczne masz tu gdzieś
je ucałuję ci.

Pardon... to nie ty!!!

Słowa: A. ŻMIGRODZKI

Byłam inna

Byłam tam kiedyś gwiazdą ekranu
miałam swój własny, cudowny świat
marzenia prysły
życie jest inne
i niech to jasny trafi szlag.

Słowa: ASWAGOSZ

Wszystko kończy się rozłąką

Jak noc na jednym prześpią drzewie
a z rana się rozlecą ptaki
tak my się łączym dla rozłąki
ludzki czy ptaszy los jednaki.
Jako się spłyną i rozpłyną
chmury na niebie na dalekim
tak człowiek zejdzie się na ziemi
i znów rozejdzie się z człowiekiem.
Odchodzą ludzie w swoją stronę
wzajem się zwiódłszy jednocześnie
więc kogóż mamy nazwać swoim
spotykający się jak we śnie.
Drzewa się nawet wyzbywają
wrodzonej liściom swym zieleni
bo wszystko kończy się rozłąką
mieliżby ludzie trwać złączeni?

Słowa: BARBARA CZARNECKA

Bywa i tak

Ty miałeś serce takie ogromne
Że mogłeś zmieścić w nim cały świat
I kilka gwiazd
A wszystkie inne miały tam miejsce
I wszystkie inne po co jeszcze ja
Jak mogłeś wiedzieć która jest którą
Która dlaczego która jak
Jak mogłeś wiedzieć kiedy z którą
To przecież obłęd
Albo żart
Ty miałeś serce takie ogromne
Że mogłeś zmieścić w nim cały świat
I kilka gwiazd

A jednak tęsknię jednak cię wspominam
Choć byłeś podlec, szuja i drań
Choć mnie uwiodłeś w głowie zawróciłeś
Rzuciłeś z gracją ja nie wnoszę skarg
Ech mógłbyś wrócić jeszcze choć na chwilę
Zagrać do końca symfonię kłamstw.

Słowa: BARBARA CZARNECKA

Byłeś

Byłeś jak piskle wypadłe z gniazda
Byłeś jak kwiatek szronem przysypany
Byłeś jak mała niedosiężna gwiazda
I z życiem byłeś nie zapoznany
Ujrzałam cię
Gdy serce me
Stało na dzikich rozstajach
poznałam cię
Szepnęłam ten
I odtąd nie znam spokoju
Zaczęłam twoje piórka hodować
I drogę mleczną widziałam w twych oczach

— — — — — —

Ty jesteś dalej piskle bez gniazda
Jesteś jak kwiatek szronem przysypany
Jesteś zupełnie niedołężna łajza
Jesteś jak cielak nieoblizany.

Słowa: HENRYK DUDZIAK

Piosenka właściwie liryczna

Odeszłaś
Porzuciłaś nasze wspomnienia
I jeszcze masz do mnie żal
Że nie drę szat, że nie byłem tej miłości wart.

Mógłbym napisać ci łzawy wiersz
że albo Ty — albo na przykład — śmierć
Mógłbym paść na płask do Twych stóp
Recytując przy tym kilka ód.
Lecz nie wiem czy to coś zmieni.

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

Salvat Etchart

FRANCUSKIE NAGRODY LITERACKIE

■ Świat intelektualny Paryża przeżywa prawdziwe emocje pod koniec każdego roku. Wtedy to przyznawane są najważniejsze nagrody literackie z Prix Goncourt na czele.

W tym roku nagrodę Goncourtów otrzymał Andre Pieyre de Mandiargues za powieść pt. „La Marge" (Margines). Wywołało to pewne zaskoczenie. Przewidywano bowiem, że nagrodę otrzyma raczej ktoś inny. Wymieniano takie nazwiska jak — Aragon, Andre Malraux (za „Antimemoires"), Michel Bataille czy Jean — Pierre Chabrol.

Andre Pieyre de Mandiargues urodził się w Paryżu 14 marca 1905 roku. Dużo podróżował, głównie po Europie i Ameryce Środkowej. Przez cztery miesiące przebywał w Meksyku, przez trzy miesiące w Egipcie. Odbywał też częste podróże do Włoch, gdzie przez kilka lat studiował sztukę i cywilizację Etrusków. Karierę literacką Andre Pieyre de Mandiargues rozpoczął jako poeta w roku 1933. Podczas wojny, gdy schronił się do Monte Carlo, wydał tam własnym nakładem mały zbiór opowiadań pt. „Dans les annees sordides". Zbiór ten został następnie wznowiony w roku 1948 przez jednego z paryskich edytorów. Mandiargues wydał następnie jeszcze 11 książek. Przed wojną przyjaźnił się z surrealistami, ale grupa ta nie wywarła zbytniego wpływu na jego pisarstwo.

André Pieyre de Mandiargues

Jeśli chodzi o samą nagrodzoną książkę, to prasa w pierwszych komunikatach podała zbyt mało informacji, aby można było powiedzieć coś bardziej szczegółowego o „La Marge". Można się tylko zorientować, że w powieści akcja nie jest najważniejsza.

Wielką Nagrodę Akademii Francuskiej otrzymał Michel Tournier za powieść pt. „Vendredi ou limbes du Pacifique" (Piętaszek albo brzegi Pacyfiku). Treścią powieści są dzieje Robinsona Cruzoe, przeniesionego w naszą epokę. Defoe w swym „Robinsonie" dał obraz rozbitka, który postępuje i reaguje tak jak musiał reagować i postępować człowiek osiemnastego wieku. Bohater powieści Tourniera, współczesny Robinson Cruzoe, odzwierciedla sposób myślenia, filozofowania i reagowania człowieka w roku 1966.

Michel Tournier urodził się 19 grudnia 1924 roku w Paryżu. Ukończył studia prawa, literatury i filozofii. Pracuje w prasie i wydawnictwach. Jest współpracownikiem czasopism „Figaro Litteraire" i „Nouvelles Litteraires".

Prix Renaudot przyznano Salvatowi Etchart za powieść pt. „Le Monde tel qu'il est" (Świat taki jakim jest).

Salvat Etchart mieszka na Martynice i panowało powszechne przekonanie, że jest czarnym. W rzeczywistości jest on z pochodzenia Baskiem, a urodził się w Bordeaux. Ma lat 40. Wydał do tej pory trzy powieści. Ostatnia nagrodzona książka przedstawia rewolucyjną walkę ludu Martyniki przeciwko wyzyskowi kolonialnemu.

JAK CALDER ZACZĄŁ TWORZYĆ MOBILE

■ Aleksander Calder wprowadził do współczesnej rzeźby istotny ruch. Jego nazwisko związane jest z tworzeniem tzw. mobilów, rzeźb poruszających się, co dało artystom całkiem nowe, nieoczekiwane możliwości wyrazu artystycznego. Wprowadzenie ruchu do rzeźby poprzez działanie motoru lub ruchu powietrza pozwala na konstruowanie najrozmaitszych form przestrzennych, stale zmieniających się. Dla odróżnienia mobilów, których elementy są w ruchu, rzeźby nieruchome Calder nazwał stabilami. Przykładem jego gigantycznej rzeźby — stabila jest np. ogromna konstrukcja metalowa pod nazwą „Człowiek", pokazana na międzynarodowej wystawie w Montrealu.

Ciekawe informacje, w jaki sposób Calder wpadł na pomysł tworzenia mobilów, podaje „Le Figaro". Otóż w okresie międzywojennym Calder robił kiedyś makietę cyrku. Gdy zbudował widownię i arenę z trapezami, zauważył, że małe trapezy umieszczone ponad areną poruszają się i stają się jakby ruchomymi elementami swoistej rzeźby. Stąd to właśnie powstał pomysł jego słynnych mobilów.

FERNANDEL WRACA NA SCENĘ

■ Od grudnia 1949 roku Fernandel nie występował na scenie, grając wyłącznie w filmie. Obecnie projektuje on powrót na deski sceniczne. Robert Thomas pracuje właśnie nad sztuką, w której wystąpi właśnie Fernandel. Będzie to komedia, w której wielki aktor będzie mógł pokazać całe mistrzostwo zawodu i specyfikę swego wybitnego talentu. Jego partnerem ma być syn Franck Fernandel. Sztuka będzie wystawiona nie wcześniej niż w październiku 1968 roku, gdyż Fernandel musi jeszcze występować w długiej serii filmów telewizyjnych.

HERCULES DURRENMATTA

■ W sztuce Friedricha Dürrenmatta pt. „Hercules i stajnia Augiasza", którą we Francji wystawia Theatre Daniel Sorano, widzowie będą się włączać do gry aktorów. Siedząc na widowni będą oni równocześnie grać rolę przyjaciół Augiasza i wysoko postawionych osobistości Elidy. Wśród widzów będzie więc wiceprzewodniczący Wielkiej Rady, dyrektor muzeum, przewodniczący komisji kulturalnej itp.

Sztuka celowo zawiera wiele anachronizmów, Hercules jakby żywcem wyjęty z comicsów, walczy z bezduszną biurokracją Elidy.

ŚMIERĆ NAJSTARSZEGO PISARZA

■ W Sztokholmie zmarł szwedzki pisarz Bo Bergman w wieku lat 98. Był on członkiem szwedzkiej Akademii Literatury i zasiadał w komitecie przyznawania Nagrody Nobla w dziedzinie literatury.

Jak twierdzi jego wydawca Gerard Bonnier, Bergman był najstarszym pisarzem uprawiającym swój zawód. Jego ostatnia książka pt. „Kaznodzieja" ukazała się zaledwie przed miesiącem.

SUKCES PARYSKIEGO BIENNALE

■ Tegoroczne paryskie Biennale cieszyło się znacznie większym sukcesem niż w roku 1965. Sprzedano 78.751 kart wstępu, podczas gdy dwa lata temu tylko 38.462. Zwiedzający wykupili 3.000 katalogów.

CZESKI DON KICHOT WE FRANCUSKIEJ TV

■ Duże zainteresowanie wśród francuskich telewidzów wzbudziła adaptacja telewizyjna słynnej powieści Jarosława Haska pt. „Przygody dobrego wojaka Szwejka".

Już w roku 1928 wybitny reżyser Edwin Piscator wystawiał „Przygody" w Berlinie. Obecnie Jose Valverde, dyrektor teatru Gerard — Philippe, po wystawieniu „Le brave soldat Sveik" na scenie, pokazał sztukę w widowisku telewizyjnym w adaptacji dokonanej przez Milana Kepela. Jak pisze paryski dziennik „l'Humanite" Czesi nazywają Szwejka ich Don Kichotem. Szwejk — twierdzą — ma duszę Don Kichota w ciele Sancza Pansy.

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Bez większego rozgłosu wszedł na nasze ekrany film, który przed kilku laty był na Zachodzie jednym z najgłośniejszych i najbardziej kasowych tytułów. Są nim „DZIAŁA NAWARONY" w reżyserii J. Lee Thompsona. Sądzę jednak, że brak reklamy nie zaszkodzi filmowi i „wieść gminna" ściągnie do kina spore rzesze zwłaszcza lepszej połowy ludzkiego rodu na tę wspaniałą męską przygodę. Nie odstraszy panów nawet Gregory Peck, którego oni tak nie lubią, a który im na złość lubi grywać najlepszego z najlepszych. Dodać trzeba, że partnerują mu znakomicie w „Działach Nawarony" Anthony Quinn, Dawid Niven i wiele in. męskich znakomitości. Wszyscy oni zostali przez słynnego scenarzystę („W samo południe", „Most na rzece Kwai") Carla Forenana i reżysera Thompsona uwikłani w najwspanialsze przygody, jakie można sobie wyobrazić. Przygody te mają swój wymiar tragiczny ze względu na fakt, iż rozgrywają się w okresie ostatniej wojny w czasie jednej z alianckich akcji na greckich wyspach w pobliżu Turcji. Zadaniem sześciu śmiałków ma być zniszczenie niemieckiej twierdzy i dwu potężnych dział, które udaremniają ewakuację 2.000 brytyjskich żołnierzy i cywilnej ludności z wyspy, której zdobycie ma ułatwić Niemcom wciągnięcie do wojny neutralnej Turcji. Zadanie, którego podejmują się owi śmiałkowie, nawet w opinii tych, którzy je przekazali jest niezi szczalne. W kinie jednak jak wiadomo możliwe jest nawet to, co filozofom się nie śniło. Skończy się zatem film takimi efektami pirotechniki, że nawet najpracowitsi ludzie naszej kinematografii (oczywiście pirotechnicy) muszą oniemieć z zachwytu. Proszę wybaczyć te mało poważne uwagi przy tak dramatycznym temacie, usprawiedliwia mnie jednak sam film. Jego twórcy postawili bowiem głównie na „wielką przygodę" i zrealizowali ją znakomicie.

Wojna jest wojną, ludzie są bohaterami z wyboru lub konieczności, dokonują czynów, których nie oczekiwaliby po sobie w innych okolicznościach, zabijają lub giną sami. Wszystko to w filmie mamy, więcej nawet, gdzieniegdzie scenarzysta, w ślad za autorem powieści MacLeanem, próbuje wypowiedzieć swój pogląd na temat wojny i ludzi w nią uwikłanych. Wkłada więc w usta bohaterów przeróżne refleksje na temat wojny, dyscypliny czy obowiązku, brzmią one jednak jak komunały i nie one się liczą. Główną wagę mają tu heroiczne czyny bohaterów przedstawione według najbardziej wypróbowanych wzorów wielkiej epiki. Nad moralno-filozoficzną refleksją wzięło górę kino „czyste" — wielkie widowisko realizowane znakomicie i z całą rozrzutnością środków i pomysłów. I choć zdajemy sobie sprawę, że jeden efekt goni następny, że gromadzi się je i piętrzy w olbrzymią piramidę nieprawdopodobieństwa w końcu kapitulujemy, poddajemy się magii przygody. „Działa Nawarony" są dziś na pewno swego rodzaju pozycją klasyczną i dały początek filmom następnym, którym przyświecała konwencja wojenno-przygodowej filmowej epiki.

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Nie szermując tym razem słowem klasyka, przyznać musimy, że żadna kinematografia nie jest w stanie obyć się bez żelaznej pozycji swego repertuaru, jaką jest melodramat. Na ławie szkolnej wbijano nam już do głowy, że jest to pośledni gatunek wszelkiej sztuki i nie tylko przez uczniowską przekorę od ławy szkolnej chętnie melodramaty czytamy i oglądamy.

Tym bardziej ciekawi nas możliwość śledzenia tego, jak ustalone schematy melodramatu próbuje się dostosować do nowych, było nie było gustów odbiorców i obyczajowości, która od czasów „Pożegnalnego walca" co nieco się zmieniła. Tę ciekawość zaspokaja w pewnym stopniu francuski film G. Lautnera GALIA". Galia to tym razem imię dziewczyny wybranej na obraz i podobieństwo wszystkich możliwych kociaków wszystkich krain. Dziewczyna ratując nieznaną sobie kobietę od samobójczej śmierci zostanie wciągnięta w jej życie prywatne i zabrnie w nie tak daleko, że stanie się ono jej własnym największym życiowym dramatem. Mamy w filmie wszystkie namiętności i układy, bez których melodramat obyć się nie może. Przyznać jednak musimy, że jest to melodramat godny lat sześćdziesiątych. „Nowa fala", weszła już widać w okres stabilizacji skoro można, i to wcale niežartobliwie, mówić o „nowofalowym" melodramacie, którego „Galia" jest wymownym przykładem. Jak w wielu nowofalowych filmach, tak i tu dać przewagę formalnych środków realizacji nad samym tematem. Dominuje wśród nich sposób narracji, niezwykła ruchliwość kamery, wybór bohaterów, i rysunek tła ich życiowej rzeczywistości. Dodać musimy, że nawet wbrew zasadom melodramatu postacie bohaterów tego filmu nie są jednoznaczne. Do końca nie wiemy, kto z nich prowadził grę prawdziwą, a to już ukłon w stronę obecnych mód na wielką niewiedzę. W takiej czy innej szacie formalnej i przy całej porcji pikanterii pozostaje jednak „Galia" melodramatem, dobrze, że odświeżonym, bo łatwiej się go nawet trawi.

EWA NURCZYŃSKA

Bez strachu

LOS

Załóżmy, że punktem ludzkiego życia — jego najmniejszą umowną jednostką jest zdarzenie. Życie więc to biliony zdarzeń — od pierwszego krzyku narodzin do ostatniego przedśmiertnego westchnienia. Zdarzenie to wyciągnięcie ramion i ziewnięcie i decyzja wstąpienia do szkoły, przypadkowe spojrzenie przez okno i postanowienie ożenku, zjedzenie bułki i narażenie dla przyjaciela życia — wieczorny spacer i postanowienie poddania się trudnej operacji. Wszystkie te punkty różnią się kolorem i mocą z jaką zostały postawione — rozmaita jest także grubość i długość linii, które te punkty łączą. Z wielu możliwych podziałów zdarzeń proponuję tu tylko zwrócenie uwagi na jeden, mianowicie podział zdarzeń na strukturalne i na pozastrukturalne. Ze zdarzeń, które wymieniłem decyzja wstąpienia do szkoły, postanowienie ożenku, narażenie dla przyjaciela życia, postanowienie poddania się trudnej operacji, to zdarzenia strukturalne, decydujące, zwrotne. Łącząca te punkty linia da nam geometryczny wizerunek naszego życia, wykres ludzkiego losu. Natomiast wyciągnięcie ramion i ziewnięcie, przypadkowe spojrzenie przez okno, zjedzenie bułki i wieczorny spacer to zdarzenia pozastrukturalne, niedecydujące, niezwrotne — łącząca te punkty linia nie da geometrycznego wykresu ludzkiego losu. Ledwo to napisałem, a już ktoś we mnie zachichotał, „Nieprawda" mówił ten ktoś obecny we mnie „życie to biologia i socjologia, a nie geometria, życie to dziedzina prawdopodobieństwa jedynie, a nie pewników. Zdecydowałeś zapisać się do szkoły i nie przyjęto cię z braku uzdolnień, zdecydowałeś się ożenić i podano ci czarną polewkę. A oto spojrzałeś przypadkowo przez okno i po raz pierwszy ujrzałeś dziewczynę, która wkrótce została twoją żoną, wybrałeś się wieczorem na spacer i chuligan dał ci ceglą w głowę, kończąc ostatnim punktem wszelkie tyczące ciebie wykresy — dopełniając twój los i załamując wszelkie jego przewidywane kształty. Tak chichotał i śmiał się ktoś we mnie i ze mnie, a ja nie mogłem znaleźć odpowiedzi, błądziłem pomiędzy decyzją a przypadkiem, między harmonią a chaosem. Z napiętą uwagą przeciągałem ramiona, uważnie spoglądałem przez okno, czaiłem się w czasie wieczornych spacerów. Natomiast beztrosko usiłowałem się dostać do każdej spotkanej szkoły, oświadczałem się każdej znajomej pani, narażałem życie dla przyjaciół i dla wrogów, godziłem się, a nawet sam prosiłem o dokonywanie dla mnie najsroższych operacji. W momentach dzielących jawę od snu migotały mi przed zamkniętymi już oczami poplątane jak kłęby sznura, wykresy mego losu. Zapach kwiatów stał się dla mnie ważniejszy od wysokości uzyskanej pensji, przez cały dzień potrafię w maksymalnym napięciu oczekiwać na promień słońca z pochmurnego nieba — powoli zacząłem pisać książki i te felietony — oto mój los.

BERNARD SZTAJNERT

Sprostowanie

Już po raz drugi zdarzyło nam się przez pomyłkę umieścić pod rysunkami Wacława Kondka niewłaściwy tytuł, który powinien brzmieć: „Łódzkie pałacyki".

Przepraszamy za to naszych Czytelników.

Redakcja

ROBERT GLUTH

ZAWÓD: nie pracujący

Motto: „Sto razy skrzywdziłeś żonę, tysiąc razy słabszych od siebie..." (K. I. Gałczyński „Bal u Salomona")

Teraźniejszość H., jego los i przyszłość zawierają się w paroksyzmach drgawek. Gdy H. obiema rękami unosi kufel, prowadzi go z wysiłkiem do ust i długo dzwoni zębami o szkło, nim wychłepce pienistą zawartość — to dygotanie całego ciała jest tak potężne i konwulsyjne, że wszyscy obecni czują się uczestnikami jakiejś kolosalnej zgrywy.

Wrażenie potęguje wygląd H. — przystojnego mężczyzny obdarzonego sylwetką boksera, nieco byczą urodą i inteligentnymi oczami.

Ten chłopak przeżył wiele w ciągu trzydziestu kilku lat. W czasie wojny przydzielono mu obce nazwisko i opiekuna z SS-Heim Schule, uznano bowiem w jakimś „amcie", że nadaje się do germanizacji. Potem przyszła wolność — odzyskana ojczyzna. Potem szkoła — nauka przerwana przed maturą i choroba płuc. Później, niestety, nadmiar alkoholu, liczne bunty przeciw własnej słabości, zakończone kapitulanckim popłakiwaniem nad samym sobą i coraz dłuższymi okresami całkowitego nieróbstwa.

Postanowiłem któregoś dnia, że stworzę H. pewną szansę, choć nie byłem pewien, czy zostanie wykorzystana. On już nie pił od kilku dni, trzymał się mocno, brał anticol. Więc załatwiłem mu pracę w zakładzie metalurgicznym, znanym z niezłych zarobków. W fabryce H. zrobił na wszystkich bardzo korzystne wrażenie. Bystry, spokojny, pojętny — pracował przy swoim warsztacie z dużą pasją, ambitnie. Tak minęły dwa miesiące. Któregoś ranka nie przyszedł i nie pojawił się więcej. Zobaczyłem go dopiero po tygodniu, w pijalni piwa, dygocącego konwulsyjnie, strasznie, jak rozpędzony mechanizm, w którym coś trzasnęło.

Dowiedziałem się, że w pijackim oszołomieniu opuścił swoją kobietę, zamieszkał samotnie w jakiejś dzikiej, obskurnej komórce — a zanim odszedł, pokrajał nożem wszystkie sukienki tej dziewczyny, którą kocha, do której tęskni.

Teraźniejszość H. zawiera się w paroksyzmach drgawek. Próbuje od nich uciec, łykając zawartość kieliszków i kufli, aż do pełnego oszołomienia, na pusty żołądek. Piwo i wódkę zawsze ktoś postawi, obiad rzadziej.

2.

Jeśli X się czymś wyróżnia, to jedynie nazwiskiem — tym samym, które nosi jego młodszy brat. Ów młodszy — szczupły, niewesoły chłopak — sam określił swoją pozycję w społeczeństwie. Do upragnionego stanowiska w jednym z wydawnictw doszedł pracując fizycznie i ucząc się jednocześnie. Zdany na własne siły, przebrnął przez egzamin dojrzałości, wstąpił na wyższą uczelnię. Jest zdolnym poetą tzw. najmłodszego pokolenia.

X znajduje się od lat na przeciwnym biegunie. Silny, wysoki, pełen wigoru, lubi tkwić godzinami w jednym miejscu, sączyć piwko, ruszyć się po to, aby grzmotnąć kogoś w nos, lub urządzić ubaw z kumplami. Nie zdobył żadnej wiedzy, w pracy był w ciągu roku przez 5 czy 7 dni, potem zwolnił się na amen i wziął zaświadczenie żeby wszystkim imponować, jaki z niego rekordowy cwaniak.

Z czego żyje? Dokładnie nie wiadomo. Ale powodzi mu się nieźle. Słyszałem, że łaskawie pozwala się utrzymywać różnym ludziom, a wśród nich matce i żonie. Nie gardzi wypitką (ba; próbował nawet dla fasonu „jagodzianki na piszczelach" — denaturatu), ale z nałogowym alkoholizmem nie ma wiele wspólnego. Jest miły w obejściu, przylepny, czasami rubaszny... I to już chyba wszystko o nim.

Bracia nie spotykają się, nie odwiedzają, nie mogą na siebie patrzeć.

3.

A „Paszczęka", to już zupełnie inna klasa. Można rzec, że klasa sama dla siebie.

Nazywają go tak, z uwagi na metalowe, błyszczące zęby, którymi błyska w złości i w przystępie dobrego humoru.

„Paszczęka" zmienił ostatnio dowód osobisty, bo już miejsca w starym nie było na adnotacje o przyjęciu i zwolnieniu z pracy. Przez całe życie postępował według pewnego schematu: zgłaszał się do roboty, obijał się do pierwszej wypłaty, potem odchodził, aby znów przez kwartał żyć beztrosko, jako dobrowolny bezrobotny. Do czego mu to wszystko jest potrzebne? Ano trochę w charakterze alibi w różnych okolicznościach, także do uzyskania pewnych świadczeń zastrzeżonych dla pracujących... i jako źródło dodatkowych zarobków. Bo „Paszczęka" — niemłody już mężczyzna znający życie i używanie — trudni się podstawowo niejasnymi kombinacjami, nie zbyt legalnym handelkiem i zręcznym pozbywaniem bliźnich dóbr doczesnych. Facet ma doświadczenie: głowę pola miesz, zanim mu coś udowodnisz.

Cóż jeszcze? Ma sporo wolnego czasu, więc łyknął trochę telewizyjno-krzyżówkowej ogłady, wygłasza swoje sądy mentorskim tonem, ma wielu kumpli, którzy się go boją i gardzą nim w równym stopniu.

4.

Trzy mini-portrety, trzy sylwetki. Podobnych wariantów jest znacznie więcej. Ludzie „zawodowo nie pracujący" stanowią problem każdego dużego miasta, problem społeczny, o którym wiele się mówi i

pisze, najczęściej w sposób jednostronny — bo zjawisko jest wyjątkowo drażliwe i niełatwe do wyjaśnienia.

Wybitny twórca współczesnej kinematografii Lionel Rogosin pokazał w reportażu filmowym „On the Bowary" tragiczną dzielnicę marginesu społecznego w Nowym Jorku. Tam władze municypalne wydzieliły pewien obszar slumsów, aby istoty czujące biologiczny wstręt do pracy, nałogowi alkoholicy i drobni przestępcy wegetowali we własnym sosie, pod wszechstronnym nadzorem policyjnym — i nie pojawiali się w innych dzielnicach metropolii.

Decyzja władz nowojorskich jest półśrodkiem i wynika z całkowitego braku wiary w możliwość resocjalizacji osobników z marginesu. W naszym kraju przyjął się bardziej optymistyczny schemat widzenia i interpretowania zjawisk społecznych. Może jest to objaw głębszego humanizmu, a może — mniejszego doświadczenia?

Postanowiłem przedstawić czytelnikom problem „zawodowo nie pracujących" w naszym mieście, w sposób możliwie wszechstronny. Dlatego przeprowadziłem rozmowy z przedstawicielami różnych specjalności: z pracownikami służby kryminalnej Komendy Miasta MO, z socjologiem i psychiatrami. Jeśli ta relacja przyczyni się do umocnienia odruchu społecznej niechęci wobec „urodzonych w niedzielę" pasożytów, jeśli zaostrzy powszechną dyskusję, to reporter będzie w pełni usatysfakcjonowany.

PERSWAZJĄ I KAGANKIEM OŚWIATY

W naszym mieście od wielu lat organa MO wspólnie z wieloma instytucjami dokładają wielu starań, aby doprowadzić do resocjalizacji „urodzonych w niedzielę".

W Łodzi mamy obecnie rozpoznanych ponad 2.000 ludzi, którzy od dawna nigdzie nie pracują. Liczba ta nie jest dokładna. „Urodzeni w niedzielę" stanowią element niepewny, społecznie, w 60 wypadkach na 100 popadający w kolizję z prawem. Jeśli zważymy, że Wydział Zatrudnienia w Łodzi dysponuje zawsze znaczną ilością miejsc pracy, a praca ta nie zostaje podjęta, to łatwo możemy wnioskować o złej woli notorycznych obiboków. Dla przykładu, w dniu 20 listopada tego roku było w Wydziale 2.788 wolnych miejsc, organa MO wytypowały 2.538 osób, jako przypadki trwałego unikania pracy, z tego 1.565 wezwano przed społeczną komisję w Wydziale Zatrudnienia, a skierowania przyjęło 1.333 ludzi. Należy wnioskować ponadto, że część skierowań przyjęto od Wydziału Zatrudnienia „na lipę", dla świętego spokoju. A często trafiały się odpowiedzi „przyjmę pracę, „ale leżącą", gdy komisja szukała dróg do sumienia kolejnego delikwenta.

Z czego żyją te ptaki niebieskie? Przede wszystkim z pasożytnictwa wszelkiego rodzaju, z dorywczej pracy, podejmowanej pod presją społeczną i z działalności przestępczej. Rozpoznajemy przęto paserstwo, kuplerstwo, drobne kradzieże... Ciąg plugawy, drobny, obrzydliwy.

Spotykają się w ulubionych przez siebie miejscach: w podrzędnych knajpach, pijalniach piwa, przed Wydziałem Zatrudnienia, gdzie udają, że czekają na pracę. Są często dla zawodowych przestępców rezerwą, której daje się zarobić — takimi chłopakami od wszystkiego. Czasami tworzą własne grupy, głównie młodzieżowe, wręcz dziecinne, którym mogą imponować, przewodzić.

Działanie milicji jest tutaj bardzo złożone. Od doraźnej represji, poprzez rozpoznanie, w czasie którego funkcjonariusz dąży do „rozliczenia" delikwenta i odpowiedzi na pytanie — z czego ów gość żyje. Od perswazji i moralnego nacisku, poprzez działalność w komisjach społecznych, aż do uczestniczenia — wspólnie z Uniwersytetem Robotniczym ZMS, Kuratorium i innymi instytucjami — w akcji zmierzającej do ratowania młodego pokolenia przed złymi wpływami. W tym wypadku wychodzi się z założenia, że praca daje świetne efekty wychowawcze i organizuje się kursy zawodowe dla młodzieży zagrożonej. Kursy uczą zawodów intratnych (tokarz, frezer, ślusarz), a Wydział Zatrudnienia gwarantuje absolwentom godziwą pracę. W zeszłym roku związało się w ten sposób z normalnym życiem w społeczeństwie 147 młodych ludzi — w tym roku ilość ta się powiększy.

OCZAMI SOCJOLOGA

Dr Stefania Dzięcielska powiada:

— Nie można w tych rozważaniach ograniczać się do konkretnego marginesu społecznego. Kiedyś byłam świadkiem takiej rozmowy przy kiosku z gazetami: „Czy jest pismo „Krzyżówka"? Nie ma. To źle, bo cóż ja będę robił przez 8 godzin w biurze?!" Otóż właściwe określenie społecznych przyczyn zjawiska wymaga zwrócenia uwagi zarówno na tych, którzy „zawodowo nie pracują", jak i na tych, których zawodem jest jedynie... branie pieniędzy za wdychanie powietrza. I jedna i druga postawa ma wspólne korzenie, a same środowiska są tu wymienne, również w sensie osobowym. Każdy „urodzony w niedzielę" może zostać pewnego dnia robotnikiem przedsiębiorstwa remontowego, który wierci maleńki otwór w murze, pije i leży przez 8 godzin, albo nie nie znaczącym urzędniczkiem rozwiązującym przez ten czas krzyżówkę za krzyżówką. Przebywanie w miejscu pracy nie jest jeszcze pracą, ale, niestety — można za to otrzymywać pieniądze.

— Przyczyny takiego stanu rzeczy są różnorodne — kontynuuje socjolog. — Na czoło wysuwają się jednak takie rzeczy, jak brak i niedoskonałość społecznej i administracyjnej kontroli, powszechny brak orientacji, co człowiek może zrobić i ile można od niego na każdym stanowisku wymagać, brak powszechnego chronometrażu pracy. Dołączyć tutaj można pewne błędy ustawodawstwa — zbytnią liberalizację i szereg niedopowiedzeń — a także model „gminnego awansu" polegającego na przejściu z konkretnej pracy fizycznej na nieokreślone, niefachowe stanowisko drobnego urzędniczka — krótko mówiąc, na stanowisko nieroba. Szereg błędów wychowawczych, niewłaściwie konstruowanych wzorców cywilizacji zurbanizowanej i pewne „tajfuny mody" — głównie zapożyczanej z Zachodu — dopełniają miary... i rodzi się kult cwaniactwa, aspołeczny model „urodzonego w niedzielę". Jakże często, w codziennej praktyce zapominamy o prawie dysproporcji pomiędzy wzrostem cywilizacji materialnej i świadomości społecznej!

— Na zakończenie, taka ciekawostka dająca dużo do myślenia. Otóż na którymś z targów zauważyłam faceta handlującego środkiem do wywabiania plam. Gość ów krzyczał, zachwalał towar, demonstrował skuteczność wywabiacza na zabrudzonych szmatach... i ludzie kupowali. Sęk w tym, że w każdej drogerii można nabyć identyczny środek za połowę ceny, tylko, że buteleczki stoją zakurzone w kącie i nikt ich nie zachwala. Cwaniak skorzystał z nieobecności reklamy w naszym handlu i kazał słono dopłacić za własną, jarmarczną reklamę. W ten sposób właśnie społeczeństwo hoduje sobie cwaniaków.

SINISTROZA

Psychiatrę interesuje patologiczny aspekt zagadnienia. Bo przyjąć należy — powiadają mi lekarze — iż praca stanowi ważny element życia każdego normalnego człowieka.

Znamy kilka jednostek chorobowych, charakteryzujących się między innymi unikaniem pracy, wstrętem do konstruktywnego działania. Wśród tych schorzeń wymienić należy przede wszystkim schizofrenię, powodującą zmniejszenie napędu życiowego we wszystkich dziedzinach, apatię, osłabienie woli. Również u alkoholików dochodzi do silnej destrukcji woli — działanie pożyteczne tych ludzi ogranicza się najczęściej do szczerych postanowień, które pozostają czekami bez pokrycia. Około 15 lat temu psychiatrzy francuscy opisali szczególną jednostkę chorobową — i nazwali ją sinistrozą. Schorzenie to występuje głównie u osób nerwicowych, skłonnych do psychastenii. Charakteryzuje się zaś niechęcią do podejmowania pracy istotnej. Innymi słowy, pewni ludzie — zachowując pełny napęd życiowy w innych dziedzinach — przejawiają patologiczny wstręt do działania konkretnego, zawodowego, długotrwałego, poszukując na to miejsce różnych zamienników, mających wypełniać próżniaczy czas.

Co radzą psychiatrzy? Dbałość o upowszechnianie zasad higieny psychicznej, o walor atrakcyjności pracy i o dobre stosunki międzyludzkie na gruncie zawodu, kładą nacisk na profilaktykę społeczną i szerzenie kultu pracy w działalności wychowawczej. To wszystko w trosce o zdrowie psychiczne społeczeństwa.

* * *

A więc problem szeroki i wielostronny. Sprawa represji, sankcji, perswazji i nauki zawodu, sprawa wychowania, walki z kultem cwaniactwa i likwidacji niedostatków życia społecznego — nawet kwestia higieny psychicznej...

Z sumienności dziennikarskiej notuję, że spotkałem się również z propozycją, utworzenia przymusowych obozów pracy dla notorycznych obiboków. I mimo, że ów projekt jest sprzeczny z kilkoma bardzo ważnymi aktami normatywnymi naszego państwa — nie mogę mu odmówić pewnego aplauzu. Chociażby dlatego, że będąc od lat podatnikiem i sumiennym pracownikiem, nie lubię, gdy kilka tysięcy cwaniaków „robi mnie w konia".

Lewym okiem

WIĘCEJ KOSZTUJE, BO NOWY

Czy to kogoś dziwi, czy nie — w wielu jeszcze krajach nie istnieje ustawowe prawo pracownika do płatnego urlopu. Można tam sobie poprosić pracodawcę o przerwę w pracy, wyjechać choćby na pięć miesięcy w podróż dookoła świata, ale wyłącznie za grosze z własnej szkatuły. Można się też z pracodawcą umówić, że będzie udzielał co roku dwu, czterech czy więcej tygodni płatnego urlopu; ale to jest umowa, do której trzeba dobrej woli obydwóch stron. Pracodawca w takich wypadkach, albo odpowiednio niżej kalkuluje płacę pracownika przez cały rok, żeby sobie odbić stratę poniesioną w czasie urlopu, albo też chodzi o mocnego fachowca, o nabytek z różnych względów pożądany, który warto kupić za większą cenę. Najczęściej jest to wpracowany, długoletni pracownik, który może przejść do konkurencji. Lepiej go zatrzymać; opłaci się go zatrzymać, dodając do umowy — oprócz awansów — jeszcze klauzulę o płatnym urlopie.

U nas pracownik ma nie tylko ustawowe prawo, ale wręcz obowiązek odpoczywania parę tygodni rocznie; dostaje za ten czas pełne, normalne uposażenie. Tak jest słusznie, uczciwie i dobrze. Trochę mniej dobrze jest, jeśli idzie o chęć zatrzymania pracownika doświadczonego i wyspecjalizowanego, o wyróżnienie go spośród innych.

Mam do czynienia na co dzień z wieloma wielkimi instytucjami różnych branż. Jest niemal żelazną zasadą, że jeśli którykolwiek z pracowników, z wyjątkiem zupełnie świeżych i stażystów, poprosi o zwolnienie, to jego następca zostanie przyjęty z płacą od razu wyższą; jeśli w grę wchodzi stanowisko niezupełnie szeregowe, do którego trzeba było się dopracowywać przez sporo lat, jak również do związanej z nim płacy, to nowy następca może nie otrzyma więcej, ale otrzyma zawsze co najmniej tyle samo, chociaż jest nowy i będzie jeszcze długo przeszkadzał, zanim zacznie pomagać.

Powtarzam: to jest niemal żelazna reguła. Długoletniemu pracownikowi można było nie dać, bo pracował i tak, bo się zasiedział, bo właściwie nie było powodu żeby coś zmieniać — nie zmieniał się przecież zakres jego czynności. Oszacowano raz przed laty jego przydatność na dwa i pół tysiąca, pasował do funduszu płac, do wydajności na głowę, do stosunku umysłowych do fizycznych, mężczyzn do kobiet, wysuniętych do młodocianych i jak to się jeszcze nazywa. Aż któregoś dnia coś go siepnęło i złożył wymówienie. W takich wypadkach proponuje się często gościowi z miejsca czterysta złotych więcej, a po namyśle jeszcze sto, uznając w ten sposób, że od dłuższego już czasu był niedoceniany, czyli — przepraszam za wyrażenie — nadużywany. Najczęściej jednak taki pracownik już się zniechęcił, rozejrzał za nową pracą może nie o tyle korzystniejszą, ale — jak się wydaje — dającą lepsze perspektywy, co oczywiście może być też złudzeniem. Odchodzi z uzasadnionym przekonaniem, że był krzywdzony, a na jego miejsce po długim okresie posuchy przyjmuje się następcę za trzy i pół. Z tym samym zakresem czynności. I okazuje się jeszcze dobitniej, iż poprzednika — przepraszam za wyrażenie — nadużywano.

I okazuje się też, że przez ten długi okres posuchy przychodzili kandydaci, że pożal się Boże, ale za to umiejący się cenić. I że wcale nie było w czym zanadto wybierać, więc wreszcie musiano złapać kogoś trochę lepszego od reszty, dając mu tle chciał i wystawiając tym samym na ciężką próbę wszystkich starych pracowników, lepszych, dobrych, bardzo dobrych, którym od lat mówiono, że fundusz płac nie pozwala na przegrupowania.

Jest też i druga strona tego smętnego medalu. Wieloletni pracownik to niekoniecznie dobry pracownik. Czasem zupełnie mierny. Ale mozolnie, pięciolecie za pięcioleciem, ciągnie go się na równi z resztą o tę setkę w górę, nie za dużo, tyle co wszyscy; jeśli taki złoży wymówienie — pracodawca oddycha z ulgą. Jeśli złoży ten dobry — obiecuje mu się awans. W ogóle zaczyna ich się rozróżniać dopiero, gdy chcą odejść, popadając w nowe niesprawiedliwości. Czyli — jeśli mamy ująć powyższe obserwacje w zgeneralizowany wniosek — w ogóle nikt na pracownika nie patrzy ani go indywidualnie nie ocenia. Istnieje tylko szara masa, w której czasem tu i ówdzie zaczyna przeświecać dziura. Wtedy łatamy ją bez oglądania się na resztę i znów jest masa. Dobrze jej tak. Dlaczego nie składa rezygnacji?

CWIEK

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny), Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Ewa Siemińska. Włodzimierz Stokowski (z-ca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 3358. XII. 1967 r. O-16